



Tajemnice Orientu

BAŚNIE I LEGENDY

ZACZAROWANYCH KRAIN WSCHODU

Charles John Tibbitts

Charles John Tibbitts

TAJEMNICE ORIENTU

Baśnie i legendy zaczarowanych krain Wschodu

Armoryka
Sandomierz

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce znajdują się obrazy wygenerowane przez fotor-ai

Wydanie na podstawie edycji angielskiej:

Folklore and Legends: Oriental
by Charles John Tibbitts
[1889])

Niniejszy tekst został przetłumaczony z języka angielskiego na język polski przy użyciu narzędzi automatycznych, w tym technologii sztucznej inteligencji. Tłumaczenie zostało następnie poddane redakcji wykonanej przez profesjonalną redaktorkę, która dokładnie przeanalizowała tekst, by zapewnić jego zrozumiałość i precyzję. Dodatkowo, redaktorka uzupełniła tekst o przypisy, które ułatwiają zrozumienie kontekstu kulturowego i merytorycznego.

Przekład, redakcja i opracowanie tekstu z wykorzystaniem i pomocą AI
— Oliwia Barańska—Adamus.

© Wydawnictwo Armoryka

Wydawnictwo Armoryka
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-7639-776-4

SZEWEC ASTROLOG

opowieść perska

W wielkim mieście Isfahanie żył sobie Ahmed, szewc z krwi i kości — uczciwy, pracowity człowiek, który marzył tylko o spokojnym życiu. I być może tak właśnie by je przeżył, gdyby nie to, że poślubił kobietę nie tylko piękną, ale też pełną ambicji, marzeń i — niestety — zupełnie niezadowoloną z jego skromnej pozycji.

Jego żona nazywała się Sittâra i choć zniżyła się, jak sama to ujmowała, by wyjść za prostego rzemieślnika, w duchu pragnęła bogactwa, splendoru i życia pełnego przepychu. Snuła fantazje o wspaniałych pałacach i służbie, i choć Ahmed nie dawał im wiary, nie sprzeczał się z nią — kochał ją zbyt mocno, by ranić. Najczęściej odpowiadał jej uśmiechem pełnym niedowierzania albo jedynie potrząsał głową, kiedy po raz kolejny roztaczała wizję ich przyszłego bogactwa. A ona dalej wierzyła, że los przeznaczył jej coś więcej niż życie u boku szewca.

Pewnego wieczoru, w nastroju szczególnie podatnym na marzenia, Sittâra poszła do hamamu.¹ Tam zobaczyła kobietę wychodzącą z łaźni w otoczeniu niewolników — ubraną w olśniewającą szatę, błyszczącą od klejnotów. To było dokładnie to, o czym Sittâra od zawsze marzyła. Gorączkowo zapytała, kim jest ta wspaniała dama. Dowiedziała się, że to żona królewskiego astrologa. Z tą informacją wróciła do domu odmieniona.

Ahmed podszedł, by ją przywitać, lecz zamiast uśmiechu spotkał się z ponurym milczeniem. Jego czułości nie przynosiły żadnego efektu — przez kilka godzin Sittâra nie odezwała się ani słowem, pogrążona w jakiejś osobistej męce. Aż w końcu wybuchła:

— Przestań mnie pieścić, jeśli naprawdę mnie kochasz, udowodnij to!

— Jaki dowód miłości mogłabyś zażądać, którego bym ci nie dał? — zapytał zdumiony Ahmed.

— Rzuć to twoje głupie szewstwo! To nędzny fach, z którego nie wyciągasz więcej niż dziesięć, może dwanaście dinarów dziennie. Zostań astrologiem! Twoja fortuna będzie wielka, a ja w końcu dostanę to, na co zasługuję — i będę szczęśliwa.

— Astrologiem? — aż zakrzyknął Ahmed. — Przecież ja nawet nie umiem czytać! Jestem prostym szewcem, a ty chcesz, żebym został uczonym, który zna niebo, planety, przyszłość?

1 Hamam to tradycyjna łaźnia publiczna występująca w krajach Bliskiego Wschodu, Afryki Północnej, a także w Turcji, Iranie i Azji Środkowej. Słowo „hammam” dosłownie oznacza „miejsce ciepła” lub „gorąca kąpiel”.

— Nie obchodzi mnie, co potrafisz, a czego nie! — wybuchła Sittâra. — Wiem jedno: jeśli jutro nie będziesz astrologiem, rozwodzę się z tobą.

Ahmed próbował jeszcze przemówić jej do rozsądku, ale bez skutku. Obraz kobiety z hammamu — z klejnotami i służbą — całkowicie zawładnął wyobraźnią Sittâry. Śniła o tym przez całą noc, a rano oświadczyła, że odejdzie, jeśli mąż nie spełni jej żądania. Co miał zrobić biedny Ahmed? Nie był astrologiem, to prawda, ale był zakochany do szaleństwa i nie mógł znieść myśli o utracie żony. Zgodził się więc.

Sprzedał swój skromny warsztat, kupił astrolabium, astronomiczny kalendarz i tablicę znaków zodiaku. Uzbrojony w te narzędzia stanął na rynku i zaczął wołać:

— Jestem astrologiem! Znam słońce, księżyc i gwiazdy! Znam dwanaście znaków zodiaku! Obliczam horoskopy i przepowiadam przyszłość!

Ahmed, jako szewc, był dobrze znany w mieście. W mgnieniu oka zebrał się wokół niego tłum.

— Co się z tobą stało, Ahmed? — pytał ktoś. — Pracowałeś tak długo, że ci odbiło?

— Zmęczyło cię patrzenie w buty, to teraz patrzysz w niebo? — żartował inny.

Śmiechom i docinkom nie było końca, a biedny Ahmed musiał znosić ich całe mnóstwo. Mimo to nie ustawał w nawoływaniu, że jest astrologiem. Postanowił zrobić wszystko, by zadowolić swoją piękną, choć kapryśną żonę.

Zdarzyło się, że ulicą przechodził królewski jubiler. Był w ogromnej rozpaczy — zaginął najcenniejszy rubin z królewskiej korony. Szukano go wszędzie, lecz bezskutecznie, a jubiler wiedział, że nie zdoła już dłużej ukrywać tej straty przed władcą. Przewidywał tylko jedno: pewną śmierć. W

beznadziejnym stanie, blakając się po mieście, natrafił na tłum zgromadzony wokół Ahmeda i zapytał, co się dzieje.

— Nie poznajesz Ahmeda, szewca? — zaśmiał się ktoś z tłumu. — Oświeciło go! Został astrologiem!

Tonący chwyta się brzytwy — gdy jubiler usłyszał słowo „astrolog”, natychmiast podszedł do Ahmeda, opowiedział mu o zaginionym rubinie i powiedział:

— Jeśli rzeczywiście znasz się na swojej sztuce, musisz być w stanie odnaleźć królewski klejnot. Zrób to, a dam ci dwieście sztuk złota. Ale jeśli nie uda ci się w ciągu sześciu godzin, użyję całej swojej władzy na dworze, by oskarżyć cię o oszustwo i doprowadzić do twojej egzekucji.

Ahmed zaniemówił. Stał przez długą chwilę, sparaliżowany strachem. Nie mógł ruszyć się ani wydać głosu. Przypominał sobie, jak bardzo kochał swoją żonę i jak to właśnie ona, przez swoją zazdrość i zachłanność, wpędziła go w to śmiertelne niebezpieczeństwo. W końcu westchnął głęboko i z goryczą zawołał:

— O, kobieto, kobieto! Jesteś bardziej zgubna dla szczęścia człowieka niż jadowity smok z pustyni!

Nie wiedział, że właśnie te słowa będą jego wybawieniem. Zaginiony rubin ukryła żona jubлера. Przerażona i dręczona wyrzutami sumienia, wysłała jedną ze swoich niewolnic, by śledziła męża. Kiedy ta zobaczyła, jak jej pan rozmawia z astrologiem, a potem usłyszała, jak Ahmed porównuje kobietę do jadowitego potwora, była przekonana, że astrolog zna całą prawdę. Wróciła do swej pani i z przerażeniem opowiedziała, co usłyszała.

— Jesteś odkryta, pani! — zawołała. — Ten straszny astrolog wszystko wie! Jeśli nie zrobisz czegoś natychmiast, cała historia wyjdzie na jaw, a ty nie tylko utracisz dobre imię — może nawet życie!

Słowa Ahmeda, wypowiedziane w uniesieniu i bez żadnego kontekstu, wydały się żonie jubilerowi dowodem wszechwiedzy. W pośpiechu zarzuciła na siebie welon i pobiegła odszukać przerażającego astrologa. Gdy go znalazła, padła na kolana i zawołała:

— Ocal moją cześć i życie, a wszystko wyznam!

Ahmed był kompletnie zaskoczony.

— Co ty możesz mi wyznać? — zapytał szczerze zdumiony.

— Och, niczego przecież nie muszę ci mówić, bo ty już wszystko wiesz! To ja ukradłam rubin z królewskiej korony. Chciałam zemścić się na moim okrutnym mężu i zdobyć bogactwo dla siebie. Myślałam, że zostanie stracony, a ja odzyskam wolność i złoto. Ale ty, najwspanialszy z ludzi, odkryłeś mój plan! Błagam cię, okaż mi litość — zrobię wszystko, co każesz!

Dla Ahmeda, który już żegnał się z życiem, ta kobieta była niczym anioł zesłany z nieba. Natychmiast przyjął poważną, pełną dostojeństwa postawę, jak przystało na wielkiego astrologa, i powiedział:

— Kobieto! Wiem, co uczyniłaś, i szczęściem twoim jest, że przyszedłaś z wyznaniem, zanim było za późno. Wróć teraz do domu i połóż rubin pod poduszką na kanapie, po tej stronie, która jest dalej od drzwi. Zaufaj mi — nikt nigdy nie dowie się o twojej winie.

Kobieta posłusznie wróciła do domu i wykonała wszystko, jak nakazał. Po godzinie zjawił się Ahmed i z powagą oznajmił jubilerowi:

— Obliczyłem wszystko, opierając się na pozycji słońca, księżyca i układzie gwiazd. Rubin znajduje się teraz pod poduszką twojej kanapy, po stronie przeciwnej do drzwi.

Jubiler spojrział na niego, jakby miał przed sobą szaleńca. Ale iskra nadziei, nawet najmniejsza, potrafi zapalić całe serce. Pobiegł do swojej sypialni i rzeczywiście — tam, dokładnie tam, gdzie Ahmed wskazał, znalazł zaginiony rubin. Oszołomiony, wrócił do Ahmeda, rzucił mu się na szyję, nazywał swoim wybawcą, najlepszym przyjacielem i największym astrologiem swoich czasów. I zgodnie z obietnicą — wręczył mu dwieście sztuk złota.

Pochwały, jakie Ahmed otrzymał, nie sprawiły mu jednak radości. Wrócił do domu nie tyle uradowany swoim szczęściem, co pełen wdzięczności wobec Boga za cudowne ocalenie. Ledwie przekroczył próg, a już jego żona rzuciła się ku niemu z pytaniem:

— No i jak, mój drogi astrologu? Jakie wieści?

— Oto — powiedział poważnie Ahmed — dwieście sztuk złota. Mam nadzieję, że to ci wystarczy i że nie poprosisz mnie już nigdy więcej, bym znowu narażał życie, jak dziś rano.

Opowiedział jej całą historię — o jubilerze, rubinie, tajemniczej żonie i cudownym zrządzeniu losu, które ocaliło go od śmierci. Ale podczas gdy Ahmed widział w tym wszystkim jedynie niebezpieczeństwo i ulotność życia, Sittâra dostrzegła tylko jedno — złoto. Złoto, które miało pozwolić jej równać się z żoną głównego astrologa w Hemmâmie.

— Odwagi! — zawołała z entuzjazmem. — To dopiero początek twojej wielkiej kariery! Idź naprzód, mój najdroższy mężu, idź i przynos nam szczęście i bogactwo!

Ahmed próbował przemówić jej do rozsądku, przypomnieć o niebezpieczeństwie, ale Sittâra, jak zawsze, zaczęła płakać i zarzucać mu brak miłości, grożąc w końcu rozwodem. I tym razem jego serce zmiękło — zgodził się spróbować raz jeszcze.

Następnego ranka znów ruszył na rynek z astrolabium w jednej ręce, tablicą dwunastu znaków zodiaku w drugiej i almanachem pod pachą, krzycząc:

— Jestem astrologiem! Znam słońce, księżyc i gwiazdy! Odczytuję przyszłość i przeszłość! Ukażę wam wszystko, co ma się wydarzyć!

Tłum zebrał się ponownie, ale tym razem nie drwił z niego. Wszyscy byli pełni podziwu i ciekawości. Wieść o odnalezieniu królewskiego rubinu rozeszła się po całym mieście. Dawny szewc został okrzyknięty największym astrologiem, jakiego kiedykolwiek widział Isfahan.

Wśród zebranych znalazła się również pewna kobieta, żona jednego z najbogatszych kupców w mieście. Właśnie wracała z Hemmâmu, gdzie zgubiła kosztowny naszyjnik i kolczyki. Przerażona, obawiała się, że mąż oskarży ją o zdradę. Gdy zobaczyła tłum wokół Ahmeda, zapytała, co się dzieje, i usłyszała opowieść o cudownym szewcu—astrologu. Historia o rubinie urosła już do rozmiarów legendy, pełnej cudownych wydarzeń, które w rzeczywistości nigdy nie miały miejsca. Kobieta była pod wrażeniem. Podeszła do Ahmeda i poprosiła, by pomógł jej odnaleźć zgubę. Obiecała pięćdziesiąt sztuk złota w zamian.

Ahmed był w szoku i nie wiedział, co powiedzieć. Wpatrzony w ziemię, próbował wymyślić sposób, by wymknąć się z tej sytuacji bez kompromitacji. Wtedy zauważył, że w dolnej części welonu kobiety zrobiła się dziura. Chciał ją uprzedzić, zanim zauważy ją ktoś inny, więc szepnął:

— Pani, spójrz w dół, tam jest rozdarcie.

Kobieta, mając w głowie tylko zgubione klejnoty, zrozumiała te słowa zupełnie inaczej. Przypomniała sobie o szczylinie w ścianie łaźni, gdzie schowała biżuterię przed rozebraniem się. Zawołała z radością:

— Czekaj tu, wielki astrologu! Zaraz wrócę z nagrodą!

I rzeczywiście — po chwili wróciła, niosąc w jednej dłoni naszyjnik i kolczyki, a w drugiej sakiewkę ze złotem.

— Oto twoja nagroda, ty, któremu objawione są wszystkie tajemnice natury! Zapomniałam, gdzie je położyłam, a bez ciebie nigdy bym sobie nie przypomniwała. Kiedy kazałeś mi spojrzeć w dół, od razu przypomniłam sobie o tej szczelinie u dołu ściany w Hemmâmie. Teraz mogę wrócić do domu spokojna, i to wszystko dzięki tobie, najmądrzejszy z mężczyzn!

Po tych słowach odeszła, a Ahmed wrócił do domu, wdzięczny niebu, że znowu ocalał, i przekonany, że już nigdy nie powinien igrać z losem. Jednak jego piękna żona wciąż nie mogła dorównać strojem żonie głównego astrologa, więc znów zaczęła błagać, nalegać i grozić, by jej mąż kontynuował swój nowy zawód.

W tym czasie doszło do wydarzenia, które wstrząsnęło całym królestwem — z królewskiego skarbcza skradziono czterdzieści skrzyń pełnych złota i klejnotów, będących niemal całym bogactwem państwa. Skarbnicy i ministrowie robili, co mogli, by odnaleźć złodziei, ale wszystko na próżno. Król, rozwścieczony, wezwał swojego astrologa i oświadczył, że jeśli do wyznaczonego czasu nie odnajdzie winnych, on sam oraz pozostali wysocy dostojnicy zostaną straceni. Został tylko jeden dzień. Astrolog próbował wszystkiego, co znał — obliczeń, znaków, wróżb — lecz nic nie pomogło. Pogodził się już z losem, gdy jeden z jego przyjaciół poradził mu, by posłał po słynnego szewca, który zyskał sławę cudotwórcy.

Natychmiast wysłano dwóch niewolników, by sprowadzili Ahmeda. Kiedy go znaleźli, powiedzieli:

— Nasz pan cię wzywa. Musisz iść z nami.

— A więc widzisz, do czego doprowadziły twoje ambicje — westchnął Ahmed do żony. — Idę na śmierć. Królewski astrolog dowiedział się o mojej zuchwałości i chce mnie zgładzić jako oszusta.

Gdy dotarł do pałacu, ze zdziwieniem zobaczył, że sam wielki astrolog wychodzi mu na spotkanie i prowadzi go na miejsce honorowe. Jeszcze bardziej zdumiał się, słysząc jego słowa:

— Drogi, uczony i wspaiały Ahmedzie! Ścieżki niebios są nieprzeniknione. Wielcy bywają obalani, a mali wywyższani. Cały świat podlega losowi i przeznaczeniu. Dziś nadszedł mój czas upadku, a twój — chwały.

Przemowę Ahmeda przerwał nagle posłaniec od króla. Władca, usłyszawszy o sławie biednego szewca, zażądał jego obecności na dworze. Ahmed, przeczuwając, że oto zbliża się jego koniec, podążył za królewskim wysłannikiem, modląc się po cichu, by Bóg wybawił go z tej opresji. Gdy stanął przed monarchą, skłonił się nisko do ziemi i życzył królowi długiego życia i pomyślności.

— Powiedz mi, Ahmedzie — zapytał król — kto ukradł mój skarb?

— Nie była to jedna osoba — odparł Ahmed po chwili namysłu. — W kradzież zamieszanych było czterdziestu złodziei.

— Dobrze — rzekł król. — Ale kto to był? I co zrobili z moim złotem i klejnotami?

— Na te pytania nie potrafię jeszcze odpowiedzieć — odparł Ahmed. — Lecz jeśli Wasza Wysokość da mi czterdzieści dni na obliczenia, mam nadzieję, że zdołam odkryć prawdę.

— Daję ci czterdzieści dni — powiedział król — lecz jeśli po ich upływie skarb się nie odnajdzie, zapłacisz za to własnym życiem.

Ahmed wrócił do domu zadowolony — nie z powodu sukcesu, lecz dlatego, że zyskał czas. Postanowił bowiem wykorzystać te dni na ucieczkę z miasta, w którym jego sława mogła sprowadzić na niego zgubę.

— No i co, Ahmedzie? — zagadnęła go żona. — Jakie wieści z pałacu?

— Żadnych — odparł gorzko. — Poza tą, że jeśli w ciągu czterdziestu dni nie odnajdę czterdziestu skrzyń ze złotem i klejnotami skradzionych z królewskiego skarbcza, zostanę stracony.

— Ale przecież odnajdziesz złodziei — powiedziała pewna siebie żona.

— Jak niby mam to zrobić? — zapytał z rezygnacją Ahmed. — Jakimi środkami?

— Tymi samymi, które pozwoliły ci odnaleźć rubin i naszyjnik damy z łaźni.

— Te same środki! — jęknął Ahmed. — Nierozsądna kobieto! Przecież wiesz, że nie posiadam żadnej wiedzy. Udawałem tylko dla ciebie. Ale przynajmniej zdobyłem czterdzieści dni — w tym czasie możemy uciec do innego miasta. Z pieniędzmi, które mamy, i moim dawnym fachem, zapewnimy sobie uczciwe życie.

— Uczciwe życie?! — prychnęła pogardliwie. — Czy twoje szewstwo pozwoli mi choćby raz pokazać się w łaźni tak jak żona głównego astrologa? Słuchaj uważnie! Masz znaleźć królewski skarb. Tak samo dobrze ci pójdzie, jak z rubinem i naszyjnikiem. I nie próbuj uciekać — jeśli spróbujesz, doniosę straży i królowi powiem sama, że jesteś oszustem. Wiesz

dobrze, że dotrzymuję słowa. Więc weź się do roboty, Ahmedzie, i zapewnij mi pozycję, na jaką zasługuje moja uroda.

Ahmed był zrozpaczony. Znał upór żony i wiedział, że nie ma wyjścia. — Skoro tak — westchnął — niech się dzieje wola twoja. Pragnę tylko spędzić pozostałe dni życia w spokoju. Wiesz, że nie jestem uczony i nie potrafię dobrze liczyć, więc oto czterdzieści daktyli. Dawaj mi jeden każdego wieczoru po modlitwie — będę wrzucał go do dzbana i dzięki temu będę wiedział, ile dni jeszcze mi zostało.

Zadowolona, że postawiła na swoim, żona zgodziła się spełnić jego życzenie i obiecała punktualność.

Tymczasem złodzieje, którzy ukradli królewski skarb, wciąż nie opuścili miasta — bali się pościgu i wykrycia. Śledzili wszystkie ruchy władz. Jeden z nich był w tłumie przed pałacem w chwili, gdy wezwano Ahmeda. Usłyszawszy, że szewc bez wahania wskazał liczbę czterdziestu złodziei, pobiegł w popłochu do kryjówki.

— Jesteśmy zdemaskowani! — krzyknął. — Ten cały astrolog powiedział królowi, że jest nas czterdziestu!

— Do tego nie trzeba być astrologiem — odparł kapitan gangu. — Skradziono czterdzieści skrzyń, więc domyślił się, że tylu musiało nas być. Miał szczęście, tyle. Ale musimy go obserwować. Może naprawdę coś wie. Dzisiejszej nocy jeden z nas pójdzie na dach jego domu i podsłucha, co mówi do swojej pięknej żony. Mówią, że ją uwielbia, więc pewnie się jej zwierza.

Plan został przyjęty. Tuż po zmroku jeden ze złodziei zakradł się na dach domu Ahmeda. Trafił akurat na moment, gdy szewc kończył wieczorną modlitwę, a żona wręczała mu pierwszy daktyl.

— Ach — westchnął Ahmed — jeden z czterdziestu.

Złodziej zbladł. Natychmiast zbiegł i opowiedział pozostałym, że Ahmed go zauważył, choć był ukryty, i natychmiast wskazał, że jeden z nich tam był.

Reszta nie uwierzyła. Uznała, że to strach pomieszał mu w głowie. Dla pewności postanowili wysłać następnej nocy dwóch ludzi.

I znów, o tej samej porze, Ahmed skończył modlitwę, żona podała mu daktyl, a on powiedział:

— Moja droga, dziś przyszło dwóch z nich.

Złodzieje zaczęli poważnie się niepokoić. Trzydziestu ośmiu nadal pozostało, ale astrolog, który rzekomo tylko zgadywał, wskazywał ich liczbę bezbłędnie każdej nocy. Pojawiał się strach, który rósł z każdym kolejnym daktylem.

Zdumieni złodzieje rzucili się do ucieczki i opowiedzieli swoim wciąż niedowierzającym towarzyszom, co usłyszeli. Trzeciej nocy wysłano więc trzech ludzi, czwartej — czterech, i tak dalej. Z obawy przed wykryciem przychodzili tylko po zmroku, zawsze tuż przed tym, jak Ahmed odbierał daktyl od żony. Każdej nocy słyszeli jego słowa, które utwierdzały ich w przekonaniu, że zna ich dokładną liczbę. Gdy nadeszła ostatnia noc i zjawili się wszyscy, Ahmed powiedział głośno: — Liczba się zgadza! Dziś przyszli wszyscy — czterdziestu!

Wątpliwości zniknęły. To było niemożliwe, by Ahmed znał ich liczbę zwyczajnymi środkami. Skąd mógł wiedzieć, ilu ich jest, i to bezbłędnie, noc po nocy? Jedynym wytłumaczeniem wydawała się być jego niepojęta znajomość astrologii. Nawet nieufny dotąd przywódca bandy uznał, że nie da się dłużej ukrywać przed człowiekiem o takiej mocy. Zaproponował więc, by zawrzeć z nim układ — wyjawić mu prawdę i przekupić milczenie częścią łupu.

Pozostali zgodzili się bez sprzeciwu i tuż przed świtem zapukali do drzwi Ahmeda. Ten zerwał się z łóżka, przekonany, że przyszli po niego królewscy strażnicy, by zabrać go na stracenie.

— Cierpliwości! Wiem, po co przyszliście — zawołał. — To niesprawiedliwe i nikczemne, co zamierzacie uczynić.

— O, niezwykły człowieku! — powiedział kapitan, gdy drzwi się otworzyły — jesteśmy przekonani, że wiesz, po co przyszliśmy, i nie zamierzamy usprawiedliwiać naszych czynów. Oto dwa tysiące sztuk złota — są twoje, jeśli przysięgniesz, że o niczym nie powiesz ani słowa.

— Mam milczeć? — odpowiedział Ahmed. — Myślicie, że mogę znosić taką krzywdę i nie domagać się sprawiedliwości?

— Zlituj się nad nami! — zaklęli złodzieje, padając na kolana. — Oszczędź nasze życie, a oddamy cały królewski skarb!

Ahmed zaniemówił. Przetarł oczy, żeby się upewnić, że nie śni. Gdy już miał pewność, że to wszystko dzieje się naprawdę, przyjął poważny ton i przemówił z godnością:

— Winowajcy! Uwierziliście, że nie umkniecie mojej przenikliwości, sięgającej aż po słońce i księżyc, znającej położenie każdej gwiazdy. Wasza skrucha uratowała wam życie. Ale musicie natychmiast zwrócić wszystko, co ukradliście. Zanieście czterdzieści skrzyń dokładnie w takim stanie, w jakim je zabraliście, i zakopcie je na głębokość jednej stopy pod południową ścianą zrujnowanego hammamu, za królewskim pałacem. Jeśli wykonacie to bez uchybień, daruję wam życie. Ale jeśli zawiedziecie w najdrobniejszym szczególe — wasza zagłada będzie nieunikniona.

Złodzieje przyrzekli posłuszeństwo i odeszli. Ahmed padł na kolana i dziękował Bogu za tę niezwykłą łaskę.

Dwie godziny później przybyli królewscy strażnicy, by zabrać Ahmeda do pałacu. Powiedział, że zaraz do nich dołączy, tylko musi pożegnać się z żoną. Postanowił nie zdradzać jej jeszcze, co się wydarzyło — chciał poczekać na wynik całej sprawy.

Pożegnał ją czule. Ona, ku jego zaskoczeniu, zachowała zimną krew. Mówiła o opatrności, zachęcała go do męstwa, choć w sercu miała zupełnie inne plany. Sittâra sądziła, że jeśli Ahmed umrze, jej uroda przyciągnie zamożnego adoratora, który da jej wszystko, o czym marzyła — stroje, klejnoty i wejścia do łaźni w blasku chwały, jak dama astrologa, której obraz wciąż miała przed oczami.

Lecz los bywa sprawiedliwy. Ahmeda i jego żonę czekała nagroda odpowiednia do ich zasług. Szewc stanął przed królem z pogodną twarzą, a niecierpliwy władca zapytał:

— Ahmedzie, twoja mina zapowiada dobre wieści. Czy odnalazłeś mój skarb?

— Czy wasza Wysokość pragnie znaleźć złodziei, czy skarb? Gwiazdy pozwalają wskazać jedno lub drugie. Proszę zdecydować — powiedział Ahmed, spoglądając na swoje wykresy.

— Nie chciałbym, by złodzieje uniknęli kary — odparł król — ale skoro trzeba wybierać, wybieram skarb.

— A zatem, jeśli Wasza Wysokość uroczyście ich ułaskawi...

— Tak będzie, o ile skarb okaże się nienaruszony.

— W takim razie — rzekł Ahmed — proszę iść za mną, a skarb zostanie odnaleziony.

Król, otoczony dostojnikami, podążył za Ahmedem do ruin starego Hemmâmu. Tam szewc wzniósłszy oczy ku niebu, zaczął szeptać słowa, które dla gapiów brzmiały jak zaklęcia, lecz w rzeczywistości były modlitwą wdzięcznego

serca. Gdy skończył, wskazał południową ścianę i poprosił króla, by jego ludzie zaczęli kopać.

Zaledwie rozpoczęto pracę, a już ukazały się wszystkie czterdzieści skrzyń — w nienaruszonym stanie, z oryginalnymi pieczęciami skarbnika.

Radość króla nie miała granic. Uściskał Ahmeda, mianował go głównym astrologiem, przydzielił mu komnaty w pałacu, a następnie ogłosił, że szewc poślubi jego jedyną córkę — bo jego obowiązkiem jest wynagrodzić człowieka tak szczególnie obdarowanego przez niebiosy.

Królowna, piękna jak księżyc, nie była niezadowolona z decyzji ojca. Była osobą pobożną i cnotliwą, ceniącą dobroć i mądrość ponad wszelkie ziemskie przysioty — a wszystko to, jak wierzyła, widziała w Ahmedzie.

Postanowienie zostało szybko wykonane. Koło fortuny zatoczyło pełny krąg — jeszcze rano Ahmed spał w ubogiej chacie i spodziewał się śmierci, a już wieczorem był panem pałacu i mężem królewskiej córki. A jednak ten nagły awans nie zmienił jego charakteru. Pozostał skromny i łagodny jak dawniej. Świadomy własnej niewiedzy, przypisywał cały swój los wyłącznie opiece Bożej. Z każdym dniem coraz bardziej kochał swoją nową żonę — piękną i szlachetną — i coraz wyraźniej dostrzegał, jak próżna i bezduszna była jego poprzednia towarzyska.

LEGENDA O ZIEMSKIM RAJU SHEDDÁDA, SYNA 'A'D

opowieść arabska

Powiada się, że Abd Allah, syn Abu Kilábeha, wyruszył na pustynię w poszukiwaniu zbłąkanego wielbłąda. Wędrując przez pustkowia Jemenu i krainę Seba, natknął się niespodziewanie na ogromne miasto otoczone potężnymi murami obronnymi, wokół których wznosiły się pawilony sięgające nieba. Zbliżając się do tej wspaniałej budowli, był przekonany, że wewnątrz muszą żyć ludzie, których mógłby zapytać o swoje zwierzę. Lecz gdy dotarł do bram, zastał miasto zupełnie opuszczone — bez śladu życia, bez żadnej duszy, która mogłaby przerwać ciszę tego miejsca.

Zszedł z wielbłądzicy, spętał jej nogi i ruszył do środka. Jego umysł ogarnęło przerażenie i zdumienie. Same bramy fortecy były olbrzymie i zdobione różnobarwnymi klejnotami — rubinami, hiacyntami, perłami w odcieniach czerwieni, zieleni, żółci i bieli. Nigdy w życiu nie widział niczego równie olśniewającego. Wewnątrz murów rozciągały się bogato zdobione pawilony z wysokimi komnatami, zbudowane ze złota i srebra, lśniące rubinami, chryzolitami i perłami. Ich

drzwi zachwycaly kunsztem wykonania, a posadzki pokryte byly perlami oraz kulkami z pizma, ambry i szafranu, wielkosci orzechow laskowych.

Przemierzajac puste miasto, nie spotkal zadnego czlowieka. Z przerazeniem spojrzal z wysokich pawilonow na plynace ponizej rzeki. Wzdłuż szerokich alei rosly owocujace drzewa i wyniosle palmy. Budynki wzniesiono z naprzemiennych cegieł ze zlota i srebra. Wszystko to sprawilo, ze pomyslal: „To musi byc raj obiecany w zyciu po smierci”.

Zabrał tyle drogocennych kamieni, ile zdołal uniesc, wraz z wonnym pyłem z pizma i szafranu, po czym wrócił do swojej krainy i opowiedzial o wszystkim mieszkańcom. Wieści o jego odkryciu dotarly aż do kalifa Mu’awiji, syna Abu Sufjana, który przebywal w Hidżazie. Kalif natychmiast nakazal swemu namiestnikowi w Sanie, by ten sprowadzil Abd Allaha i wypytal go o szczegoly. Gdy mężczyzna opowiedzial swoja historie i pokazal znalezione skarby, kalif początkowo mu nie uwierzył — perły już pozółkły, choć kuleczki pizma i ambry wciąż zachowaly swój zapach.

Zaintrygowany, Mu’awija wezwal uczonego Kaaba al-Ahbára, aby zasięgnac jego opinii. Opisal mu miasto zbudowane ze zlota i srebra, z kolumnami z chryzolitów i rubinów, perlami jak żwir, aromatami jako pyłem. Kaab bez wahania odpowiedzial: „O Księżę Wiernych! To Irem, Miasto Ko-

lumn,² jakiego nie wzniesiono nigdy wcześniej na ziemi. Zbudował je Sheddad, syn A'da Wielkiego”.

Kaab opowiedział, że A'd miał dwóch synów: Shedeeda i Sheddada. Po śmierci ojca rządili wspólnie, aż Shedeed zmarł, a Sheddad został jedynym władcą znanym światu. Czytał starożytne księgi, które opisywały raj — jego pawilony, wysokie komnaty, drzewa i rzeki. Zamarzył, by stworzyć coś podobnego na ziemi. Pod jego rozkazami było sto tysięcy królów, każdy z własnym wojskiem. Sheddad kazał im odnaleźć najpiękniejsze miejsce na świecie, gdzie powstanie to niezwykle miasto. Mieli pozyskać złoto, srebro, rubiny, chryzolity i perły — nawet z dna mórz. Budowa trwała trzy-sta lat.

Gdy miasto było gotowe, Sheddad polecił wzniesienie tysiąca pawilonów, z tysiącem kolumn w każdym, by każdy jego wezyr miał w nim miejsce. Budowa murów i pawilonów zajęła kolejne dwadzieścia lat. Potem przez dwie dekady przygotowywano władcę, jego harem i dwór do przeprowadzki. Jednak gdy do Irem pozostał już tylko dzień drogi, z nieba nadszedł przeraźliwy krzyk, który poraził ich wszystkich — samego Sheddada i jego armię — zanim zdążyli ujrzeć miasto. Zostali unicestwieni, a droga do miasta została zatarta przez Boga. I tak pozostało, nietknięte, aż do dnia sądu.

2 Iram z Kolumnami (lub Iram Kolumnad) — to najczęściej spotykane znaczenie tego określenia. Iram z Kolumnami to legendarne, zaginione miasto wspomniane w Koranie. Według przekazów było to miasto niezwykle bogate, zbudowane przez starożytny lud Ad. Jego upadek miał być karą od Boga za pychę mieszkańców i odrzucenie nauk proroka Huda. Miasto często bywa umiejscawiane na Półwyspie Arabskim, gdzieś na pustyni, choć jego dokładna lokalizacja pozostaje nieznana i owiana tajemnicą.

Mu'awija, wysłuchawszy opowieści, zapytał Kaaba: „Czy ktoś z ludzi może dotrzeć do tego miasta?” Na co uczony odparł: „Tak, może. Będzie to ktoś podobny do tego człowieka, który teraz tu siedzi.” Inni mędracy, jak esz-Shaabi, potwierdzali te słowa, dodając, że po śmierci Sheddada tron objął jego syn — Sheddad Mniejszy, który rezydował w Hadramaucie. Dowiedziawszy się o śmierci ojca, kazał przewieźć jego ciało do rodzinnych stron i złożyć w grocie. Tam umieszczono go na złotym łożu, przykryto siedemdziesięcioma haftowanymi, drogocennymi szatami, a u jego głowy położono złotą tablicę z wyrytym napomnieniem:

*„Zważ, człowieku, którego zwiodła długość życia!
Jam jest Sheddad, syn A'da, pan potężnych fortec,
Władca siły, odwagi i nieprzejednanej woli.
Ziemia była mi posłuszna, świat drżał na dźwięk mego głosu.*

*Wschód i zachód były moimi poddanymi.
Pewnego razu wezwano nas ku wierze, lecz odrzuciliśmy wezwanie.*

*A z odległego nieba przyszedł na nas krzyk zagłady,
I padliśmy jak zboże w czasie żniw.
Teraz zaś, w głębi ziemi, czekamy na dzień, który został zapowiedziany.”*

Według przekazu et-Tha'alibiego, dwóch ludzi przypadkiem odnalazło grobowiec. Schodząc po schodach do podziemnej komnaty, odkryli olbrzymie pomieszczenie, w którym spoczywało ciało Sheddada — tak ogromne, że wypełniało całą długość złotego łoża. U jego głowy nadal znajdowała się złota tablica z inskrypcją. Ludzie ci zabrali ją ze

sobą, wynosząc też tyle złota i srebra, ile byli w stanie unieść.

Tak właśnie brzmi historia legendarnego miasta Irem — wspaniałego, lecz przeklętego przez pychę swego twórcy. Miasta, którego nikt nie zamieszkuje, a które nadal czeka pośród pustkowi, aż do końca czasów.

GROBOWIEC ANUSZIRWANA

opowieść arabska

Kalif Harun ar-Raszid wybrał się pewnego dnia, by odwiedzić grobowiec słynnego Anuszirwana³ — najbardziej znanego i szanowanego władcy, jaki kiedykolwiek rządził Persją. Przy wejściu do grobowca wisiała zasłona z tkaniny przetykanej złotem, lecz gdy tylko kalif jej dotknął, ta rozpadła się na kawałki. Wnętrze grobowca lśniło — ściany pokryte były złotem i drogocennymi kamieniami, których blask rozświecał ciemności panujące w środku.

3 Anuszirwan lub Chosrow (Chosroes) I Anuszirwan, również Chosroes I („O nieśmiertelnej duszy”) lub Sprawiedliwy to przydomek jednego z najsłynniejszych władców perskich z dynastii Sasanidów — Chosrowa I, który panował w latach 531–579 n.e.; Harun ar-Raszid (panował 786–809 n.e.) — Piąty kalif z dynastii Abbasydów. Za jego panowania Bagdad stał się kwitnącym centrum nauki, kultury i handlu. Był on wielkim mecenasem sztuki, nauki i literatury, a epoka jego rządów uchodzi za złoty wiek islamu. Co więcej, to właśnie z jego czasów pochodzi wiele opowieści ze słynnego zbioru „Baśnie z tysiąca i jednej nocy”, gdzie Harun ar-Raszid często występuje jako postać fikcyjna — sprawiedliwy, ciekawy świata i niekiedy incognito odwiedzający swoich poddanych.

Ciało monarchy znajdowało się w pozycji siedzącej, osadzone na tronie ozdobionym klejnotami. Sprawiało tak realistyczne wrażenie, że Harun, poruszony pierwszym impulsem, pochylił się nisko do ziemi i oddał hołd sprawiedliwemu Anuszirwanowi. Twarz zmarłego władcy wyglądała jak żywa, a całe ciało zachowane było w stanie doskonałym — świadectwo kunsztu balsamistów, którzy przygotowali je do wiecznego spoczynku. Jednak gdy kalif dotknął jego szat, te w jednej chwili rozsypały się w proch.

Wzruszony tym widokiem Harun zdjął własne, bogato zdobione szaty i nakrył nimi ciało króla. Następnie zawiesił nową zasłonę — jeszcze piękniejszą i kosztowniejszą od poprzedniej — a cały grobowiec wypełnił wonią kamfory i innych drogocennych zapachów. W ten sposób złożył hołd nie tylko potędze i mądrości minionego władcy, lecz również pamięci o jego sprawiedliwych rządach, które przetrwały wieki.

Zauważono, że ciało Anuszirwana nie wykazywało żadnych oznak rozkładu, z wyjątkiem jednego szczegółu — jego uszy zbielewały. Cała scena wywarła na kalifie Harunie—ar—Raszidzie ogromne wrażenie. Wzruszony do głębi, wybuchnął płaczem i zacytował słowa z Koranu: *„To, co zobaczyłem, jest przestroga dla tych, którzy mają oczy.”*

Kalif dostrzegł napisy na tronie, na którym spoczywało ciało wielkiego władcy, i polecił mobedom — kapłanom⁴ znającym język Pehlewi — by je odczytali i wyjaśnili. Tekst, który znaleźli, brzmiał:

4 Słowo mobed (także zapisywane jako mōbad, mowbed lub mubad) odnosi się do kapłana w religii zaratusztriańskiej, czyli starożytnej religii Persji. Wyżej w hierarchii znajduje się mobed—e mobedan — czyli ‘kapłan kapłanów’ — najwyższy duchowny w zaratusztrianizmie (odpowiednik arcykapłana).

*„Ten świat nie trwa wiecznie; najmądrzejszy jest ten,
kto najmniejszą do niego przywiązuje wagę.
Korzystaj z życia, zanim stanie się ono twoim oprawcą.
Obdarzaj tych, którzy są niżej ciebie, takim samym
szacunkiem i łaską,
jakiej sam oczekujesz od tych, którzy stoją wyżej.
Nawet jeśli zdobędziesz cały świat, śmierć i tak cię pokona.
Strzeż się, abyś nie stał się ofiarą własnego szczęścia.
Zostaniesz rozliczony dokładnie z tego, co uczyniłeś
— ani więcej, ani mniej.”*

Na palcu Anuszirwana znajdował się pierścień z ciemnym rubinem, na którym wyryto kolejne przesłanie:

*„Unikaj okrucieństwa, czynń dobro i nie działaj pochopnie.
Choćbyś żył sto lat, nie zapominaj ani przez chwilę
o śmierci.
Ponad wszystko cenić należy towarzystwo ludzi mądrych.”*

Na prawym ramieniu zmarłego władcy widniała złota obręcz z wyrytą przepowiednią:

*„W pewnym roku, dziesiątego dnia miesiąca Erdebehisht,⁵
przybędzie do mojego grobowca kalif z rodu Adean, wyznający
wiarę Mahometa, w towarzystwie czterech ludzi dobrych i
jednego złego.”*

5 Erdebehisht (awestyjski: Asha Vahishta) to drugi miesiąc w tradycyjnym zaratusztriańskim kalendarzu.

Pod tą sentencją znajdowały się imiona przodków kalifa. Dalej znajdowała się jeszcze jedna przepowiednia, dotycząca właśnie tej wizyty Haruna:

„Ten książkę odda mi cześć i okaże dobroć, choć niczego mu nie jestem winien. Przyodzieje mnie w nową szatę i skropi mój grobowiec wonnymi olejkami, a następnie powróci do swego domu. Lecz zły człowiek, który mu towarzyszy, dopuści się zdrady wobec mnie. Modlę się, aby Bóg zesłał kogoś z mojego rodu, kto odpłaci kalifowi za jego wielką życzliwość i pomści zniewagę wyrządzoną przez niegodnego towarzysza. Pod moim tronem znajduje się jeszcze jeden napis — kalif powinien go odczytać i rozważyć. Jego treść przypomni mu o mnie i sprawi, że wybaczy mi, iż nie mogę ofiarować mu niczego więcej.”

Wizyta kalifa w grobowcu wielkiego władcy przeszłości stała się dla niego nie tylko chwilą zadumy, ale i duchową lekcją — o przemijaniu, pokorze wobec losu i odpowiedzialności za własne czyny. W milczeniu Harun opuścił miejsce spoczynku Anuszirwana, niosąc ze sobą nie tylko pamięć o jego mądrości, lecz także własną refleksję nad kruchością życia i potęgą śmierci, która dosięga nawet największych.

Gdy kalif Harun ar-Raszid usłyszał treść przepowiedni wyrytej na złotej obręczy wokół ramienia Anuszirwana, sięgnął pod tron i rzeczywiście odnalazł tam rubin wielkości ludzkiej dłoni, na którym widniały kolejne wersy. Mobedzi odczytali inskrypcję — zawierała ona wskazówki, gdzie ukryty został skarb składający się ze złota, broni oraz szkatuł pełnych klejnotów. Pod nią widniał prosty, ale poruszający napis:

„Ofiarowuję to kalifowi w podzięcie za dobro, które mi uczynił; niech weźmie je i cieszy się nimi.”

Gdy Harun przygotowywał się do opuszczenia grobowca, jego wezyr, Husayn ibn Sahl⁶, odezwał się:

— O Panie Wiernych, jaki pożytek z tych klejnotów, które zdobią grób zmarłego i nie przynoszą żadnego dobra żyjącym? Pozwól mi zabrać kilka z nich.

Kalif spojrział na niego z oburzeniem:

— Taka prośba bardziej przystoi złodziejowi niż wielkiemu i mądrymu człowiekowi.

Husayn zawstydził się swoich słów i polecił słudze stojącemu przy wejściu do grobowca, by wszedł do środka i oddał hołd świętemu miejscu. Sługa — człowiek bardzo stary, mający ponad sto lat — wszedł do środka i oniemiał z wrażenia na widok tego przepychu. Przez chwilę zmagął się z pokusą, w końcu jednak, pokonując własny strach, ukradł pierścień z palca Anuszirwana i wyszedł.

Harun od razu zauważył, że sługa wraca spięty i niespokojny. Przeczuł, co się wydarzyło. Zwrócił się do obecnych:

— Czy teraz nie rozumiecie, jak wielka była mądrość Anuszirwana? Przepowiedział, że jeden niegodny człowiek będzie mi towarzyszył. To ten oto człowiek. — A następnie zapytał go gniewnie: — Co zabrałeś?

— Nic, panie — odparł sługa.

— Przeszukajcie go — rozkazał kalif.

Znaleziono pierścień. Harun natychmiast udał się z powrotem do grobowca i umieścił go z powrotem na zimnym palcu zmarłego władcy. Gdy tylko to uczynił i wyszedł, z

6 Husayn ibn Sahl lub al-Husayn ibn Sahl) to postać historyczna z epoki Abbasydów, najprawdopodobniej związana z elitą dworską lub administracją kalifatu w IX wieku.

góry, na której znajdował się grób, rozległ się huk niczym grzmot. Wstrząśnięty kalif rozkazał uczynić drogę do grobowca niedostępną dla przyszłych ciekawskich.

Odszukał również skarby, które zostały mu подарowane — złoto, broń i kosztowności — i wysłał je do Bagdadu. Wśród znalezionych przedmiotów znajdowała się też złota korona o pięciu bokach, bogato zdobiona drogocennymi kamieniami. Na każdej z jej stron wyryto mądre sentencje. Najbardziej godne uwagi były następujące:

Pierwsza strona:

„Pozdrów tych, którzy znają samych siebie.

Rozważ zakończenie, zanim rozpoczniiesz, i zanim zrobisz krok naprzód, przygotuj drogę odwrotu.

Nie sprawiaj nikomu niepotrzebnego bólu, lecz dąż do szczęścia wszystkich.

Nie opieraj swojej godności na zdolności wyrządzania krzywdy innym.”

Druga strona:

„Zasięgnij rady, zanim rozpoczniiesz działanie, i nigdy nie powierzaj jego wykonania niedoświadczonym.

Poświęć majątek dla ratowania życia, a życie dla ochrony wiary.

Poświęć swój czas, by zdobyć dobrą sławę; jeśli pragniesz powodzenia, naucz się zadowolenia.”

Trzecia strona:

„Nie smuć się z powodu rzeczy zniszczonych, skradzionych, spalonych lub utraconych.

Nie wydawaj rozkazów w cudzym domu; przyzwyczaj się do jedzenia przy własnym stole.

Nie pozwól, by kobiety stały się twoim więzieniem.”

Czwarta strona:

„Nie bierz żony z niegodziwego rodu i nie zasiadaj z tymi, którzy nie znają wstydu.

Unikaj ludzi, którzy trwają w złych nawykach, i nie zbliżaj się do tych, którzy nie potrafią odwzajemnić dobroci.

Nie pożądaj majątku innych.

Strzeż się królów, bo są jak ogień — ogrzewają, ale niszczą.

Bądź świadomy własnej wartości, sprawiedliwie oceniaj innych i nie tocz wojny z tymi, którzy przewyższają cię majątkiem.”

Piąta strona:

„Lękaj się królów, kobiet i poetów.

Nie zazdrość nikomu i nie szukaj wad u innych.

Naucz się być szczęśliwym i unikaj gniewu, bo inaczej twoje życie stanie się pasmem udręki.

Szanuj i chroń kobiety w swojej rodzinie.

Nie bądź niewolnikiem gniewu; w każdej kłótni zostaw otwarte drzwi do pojednania.

Nie wydawaj więcej, niż jesteś w stanie zarobić.

Posadź młode drzewo, jeśli chcesz kiedyś ściąć stare.

Nie wyciągaj nóg poza rozmiar swojego dywanu.”

Kalif Harun ar—Raszid był bardziej oczarowany mądrością wypisaną na koronie niż wszystkimi skarbami, które udało mu się odnaleźć. — Spiszcie te maksymy — powiedział — aby wierni mogli czerpać z nich owoce mądrości.

Po powrocie do Bagdadu opowiedział o wszystkim swojemu ulubionemu wezyrowi, Jaffierowi Bermekiemu, i innym najwyższym urzędnikom. Cień Anuszirwana został ułagodzony — poprzez hańbę Husayna—ben—Sâhila, który namawiał do ograbienia grobu, oraz przykładną karę dla sługi, który dopuścił się świętokradztwa, zabierając pierścień z palca zmarłego króla.

AMIN I GHUL

opowieść perska

W Persji istnieje miejsce tak przerażające, że zyskało miano „Dolina Anioła Śmierci”. Według tradycji, to właśnie tam zatrzymuje się najstraszliwszy posłaniec Bożego gniewu — Anioł Śmierci. Otaczają go ghule, potworne istoty, które po odebraniu duszy człowiekowi, rzucają się na jego ciało, by je pożreć.⁷

Ich naturalna postać budzi grozę, ale ghule potrafią przybierać dowolne kształty — czasem wyglądają jak zwierzęta, na przykład krowy czy wielbłądy, a czasem jak bliscy lub przyjaciele ofiary. Nie tylko zmieniają wygląd, ale i głos, zwodząc podróżnych słodkimi słowami lub melodyjnym śpiewem. Ich krzyki i jęki, które słyhać w ciemnych wąwozach doliny, potrafią zamienić się w najpiękniejsze dźwięki,

⁷ *Amin i Ghul* (z arab. *Ameen wa Ghoul*) — zestawienie imion lub postaci symbolicznych wywodzących się z tradycji arabskiej i perskiej. „Amin” oznacza „godny zaufania”, natomiast „Ghul” to istota demoniczna z folkloru — zjawa lub potwór żywiący się ludźmi. Fraza ta może pełnić funkcję literackiego kontrastu między dobrem (Amin) a złem (Ghul), często spotykanego w baśniach i opowieściach moralizatorskich Bliskiego Wschodu.

— Zaczekaj, przyjacielu, podejdę bliżej — odparł.

Gdy Amin znalazł się twarzą w twarz z ghuliem, powiedział:

— Nie jesteś moim przyjacielem Kerrimem. Jesteś kłamliwym demonem. Ale właśnie na kogoś takiego czekałem. Sprawdzałem już swoje siły na wszystkich ludziach i zwierzętach, jakie chodzą po tym świecie, i żaden nie był dla mnie godnym przeciwnikiem. Przyszedłem tu specjalnie, żeby zmierzyć się z ghulem i udowodnić swoją potęgę.

Stwór osłupiał. Spojrzał uważnie na człowieka i powiedział:

— Synu Adama, nie wyglądasz na tak silnego.

— Pozory mylą — odpowiedział Amin. — Ale dam ci dowód mojej siły. Widzisz ten kamień z potoku? W środku jest płyn. Spróbuj go ścisnąć tak, żeby z niego wypłynął.

Ghul wziął kamień i mocno ścisnął, ale bez skutku. Oddał go zrezygnowany.

— To bardzo proste — uśmiechnął się Amin i wziął kamień do ręki, w której wcześniej schował jajko. — Patrz uważnie.

Zacisnął dłoń. Ghul usłyszał chrupnięcie, a między palcami Amin Bega popłynął biały płyn. Był pewien, że to sok z rozkruszonego kamienia. Amin nawet nie drgnął, jakby nie sprawiło mu to żadnego wysiłku.

Ghul patrzył na niego z mieszaniną strachu i podziwu. Amin, uzbrojony w jajko, sól i bystry umysł, właśnie rozpoczął rozgrywkę, która miała się dopiero rozwinąć...

Amin, korzystając z ciemności, położył wcześniej używany kamień na ziemi i podniósł inny — ciemniejszy. „Ten tutaj,” powiedział z pewnością, „zawiera sól. Przekonasz się o tym, jeśli uda ci się go skruszyć w palcach.” ghul popatrzył na kamień z niepewnością i przyznał, że nie ma ani wystar-

czającej wiedzy, by rozpoznać jego właściwości, ani siły, by go rozkruszyć. „Daj go tutaj,” odpowiedział Amin z niecierpliwością. Gdy ghul mu go podał, Amin, niepostrzeżenie trzymając w tej samej ręce wcześniej przygotowany kawałek soli, podał mu już rozkruszoną substancję. Ghul, widząc proszek, spróbował go i osłupiał z podziwu dla siły i przebiegłości tego niezwykłego człowieka.

Zaczął odczuwać niepokój. Co jeśli ta ogromna siła zostanie użyta przeciwko niemu? Bał się nawet zmienić kształt w zwierzę, co często czynił, by uciec lub oszukać ludzi, ponieważ Amin jasno ostrzegł, że każde oszustwo spotka się z natychmiastową karą. A choć ghul był istotą długowieczną, nie był nieśmiertelny.

Zrozumiałwszy, że nie ma szans w bezpośrednim starciu, postanowił zyskać przychylność nowego towarzysza — przynajmniej dopóki nie nadarzy się okazja, by się go pozbyć. — Najwspanialszy z ludzi — powiedział z udawaną uprzejmością — czy zaszczybisz mnie wizytą w moim skromnym domu? Jest całkiem niedaleko. Znajdziesz tam wszystko, czego trzeba do odpoczynku i posiłku, a po wygodnie spędzonej nocy będziesz mógł ruszyć w dalszą drogę. — Nie mam nic przeciwko, przyjacielu ghulu — odpowiedział Amin — ale pamiętaj — po pierwsze, jestem bardzo porównywczy i nie zniosę żadnych lekceważących słów. Po drugie, mam niezwykle dar przenikliwości — tak jak dostrzegłem sól w kamieniu, tak samo widzę twoje zamiary. Lepiej więc zadbaj, by były one czyste, inaczej gorzko pożałujesz. Ghul zapewnił go z całą powagą, że nie padnie ani jedno słowo, które mogłoby obrazić jego godność. Przysiągł też na głowę swego pana — samego Anioła Śmierci — że uszanuje prawa gościnności i przyjaźni. Tak zaczęła się ich wspólna podróż do mrocznego schronienia ghula, gdzie miała rozegrać się

dalsza część tej niezwyklej opowieści o przebiegłości i sile umysłu, która przewyższyła nawet najbardziej przerażające moce. Zadowolony z warunków, Amin ruszył za ghulem przez kręte ścieżki, strome skały i głębokie wąwozy, aż dotarli do dużej, słabo oświetlonej jaskini. — Tutaj mieszkam — oznajmił ghul — i tutaj mój przyjaciel znajdzie wszystko, czego potrzeba mu do odpoczynku i odświeżenia się. Prowadząc go dalej, pokazał mu różne komnaty pełne worków ze zbożem i wszelkiego rodzaju towarów — wszystko to łupy zrabowane nieszczęsnym podróżnym, których ghul zwabił do swojej kryjówki. O tragicznym losie tych ofiar świadczyły kości, o które Amin co chwilę się potykał, i odór gnijących szczątków, unoszący się w powietrzu.

— Mam nadzieję, że to wystarczy na twoją kolację — powiedział ghul, podnosząc wielki worek ryżu. — Mężczyzna o twojej sile musi mieć nie lada apetyt.

— To prawda — odpowiedział Amin bez mrugnięcia okiem. — Ale przed wyruszeniem w drogę zjadłem już całego barana i tyle ryżu, ile masz teraz w dłoni. Nie jestem więc głodny, ale zjem odrobinę, by nie urazić twojej gościnności.

— Muszę to dla ciebie ugotować — stwierdził ghul. — Nie jadasz przecież surowego mięsa i ziaren jak my. O, tutaj jest kociołek — dodał, podnosząc jeden z przedmiotów leżących wśród zagrabionych rzeczy. — Pójdę po drewno, a ty przynieś wodę tym — wskazał na olbrzymi worek wykonany ze skóry sześciu wołów.

Amin poczekał, aż jego gospodarz zniknie za zakrętem w poszukiwaniu drewna. Następnie, z ogromnym trudem, zaczął ciągnąć potężny worek do brzegu ciemnego strumienia, który wypływał ze skał na końcu jaskini, po czym zniknął pod ziemią.

— Jak mam ukryć swoją słabość? — zastanawiał się Amin, z trudem ciągnąc pusty jeszcze worek. — Kiedy napelnię go wodą, potrzeba będzie dwudziestu silnych mężczyzn, żeby go unieść. Co mam zrobić? Ten kanibal ghul z pewnością mnie pożre, jeśli odkryje, że nie mam siły, jaką mi przepisuje. Na razie powstrzymuje go tylko przekonanie o mojej niezwykłej mocy.

Po kilku minutach namysłu mieszkaniec Isfahanu wpadł na pomysł. Zamiast napelniać worek, zaczął kopać mały kanał, którym woda ze strumienia mogłaby sama dopłynąć do miejsca, gdzie przygotowywano kolację.

— Co ty wyprawiasz? — wrzasnął ghul, zbliżając się zniecierpliwiony. — Posłałem cię po wodę do gotowania ryżu, a ty kręcisz się tu już od godziny! Nie możesz po prostu napelnić worka i przynieść go z powrotem?

— Ależ oczywiście, że mogę — odparł spokojnie Amin. — Gdybym chciał odplacić ci za twoją gościnność jedynie pokazem brutalnej siły, mógłbym unieść cały twój strumień, gdybyś tylko miał odpowiednio duży worek. Ale spójrz tu — powiedział, wskazując na wykopany kanał — oto początek dzieła, w którym człowiek używa umysłu, by ulżyć ciału. Ten kanał, choć niepozorny, poprowadzi wodę na drugi koniec jaskini, gdzie zbuduję tamę, którą będzie można otwierać i zamykać wedle potrzeby. Oszczędzi ci to mnóstwa pracy. Daj mi tylko czas, bym mógł to dokończyć.

— Bzdura! — przerwał mu ghul, chwytając worek i sam go napelniając. — Sam przyniosę wodę. A to twoje „kanałowanie”, czy jak to tam nazwałeś, możesz sobie dokończyć jutro. Teraz chodź, zjedz kolację i idź spać.

Amin odetchnął z ulgą. Wiedział, że jego podstęp się udał — dzięki sprytowi i spokojowi uniknął sytuacji, która mogła go kosztować życie. Amin pogratulował sobie sprytu, który

pozwoili mu wyjść cao z niebezpiecznej sytuacji, i bez wahania skorzystał z rady gospodarza. Po obfitej kolacji, jaką przygotował ghul, udał się na spoczynek, kładąc się na łożu usłanym najbogatszymi narzutami i poduszkami, pochodzącymi z jednego z magazynów pełnych zrabowanych dóbr.

Ghul, który spał również w tej samej jaskini, ledwo co się położył, od razu zapadł w głęboki sen. Amin jednak nie mógł zmrużyć oka — jego czujność nie pozwalała na odpoczynek. Wstał ostrożnie i, żeby zmylić gospodarza, umieścił w środku łóżka długą poduszkę, tworząc pozory swojej obecności. Sam zaś skrył się w jednej z ciemnych wnęk jaskini, by obserwować dalsze działania ghula. Ten obudził się jeszcze przed świtem i bezszelestnie podszedł do łóżka Amina. Nie widząc żadnego ruchu, był pewien, że jego gość zagrożony jest w głębokim śnie. Chwycił więc jedną ze swoich „lasek” — kawał drewna wielkości pnia drzewa — i zadał nią potężny cios w to, co uważał za głowę Isfahańczyka. Nie słysząc jęku, uznał, że jego dzieło zostało dokonane. Dla pewności powtórzył cios jeszcze siedem razy, po czym spokojnie wrócił do swojego posłania. Nie zdążył się jednak na dobre ułożyć, gdy Amin, który zdążył już zakraść się z powrotem do łóżka, podniósł głowę i zawołał:

— Przyjacielu ghulu, cóż to za owad zakłócił mi sen swoimi stuknięciami? Słyszałem, jak siedem razy trzepotał skrzydłami po mojej narzucie. To robactwo jest naprawdę uciążliwe — nie robi człowiekowi krzywdy, ale spać nie daje!

Ghul zamarł w przerażeniu. Już sam fakt, że Amin przeżył, był dla niego szokiem — ale że opisał siedem zabójczych uderzeń jako trzepot skrzydeł owada? To przeraziło go do głębi. Nie widząc żadnego ratunku w sąsiedztwie tak nie-

zwykłego człowieka, szybko się zebrał i uciekł z jaskini, zostawiając Isfahańczyka samego z całym dobytkiem.

Amin domyślił się, co skłoniło gospodarza do ucieczki, i nie tracąc czasu, zaczął przeglądać skarby, które go otaczały, planując, jak je przetransportować do domu. Po dokładnym obejrzeniu zawartości jaskini i uzbrojeniu się w strzelbę po jakiejś wcześniejszej ofierze ghula, ruszył na rekonesans.

Ledwo jednak oddalił się od jaskini, gdy zobaczył ghula wracającego z ogromną maczugą, w towarzystwie lisa. Amin, znając przebiegłość tego zwierzęcia, od razu domyślił się, że to ono zdradziło ghulowi prawdę o jego podstępie. Ale i teraz zachował zimną krew.

— Masz za to, że nie spełniłeś moich rozkazów! — zawołał, celując do lisa i trafiając go prosto w głowę. — Ten nikczemnik obiecał przyprowadzić mi siedmiu ghuli, bym mógł ich zakuć i zawieźć do Isfahanu, a przyprowadził tylko ciebie — który już jesteś moim niewolnikiem!

Z tymi słowami ruszył w stronę ghula, ale ten wpadł w panikę i rzucił się do ucieczki. Dzięki swojej maczudze pokonywał skały i przepaście z taką szybkością, że po chwili zniknął z pola widzenia. Amin dobrze zapamiętał drogę z jaskini do traktu, po czym udał się do najbliższego miasta, gdzie wynajął wielbłądy i muły, by przewieźć zdobyte dobra. Uczciwie oddał to, co należało do ludzi wciąż żyjących, a z reszty — tej, której nikt nie rozpoznał — sam się wzbogacił. I tak, dzięki sprytowi i rozumowi, a nie sile czy odwadze, Isfahańczyk zdobył fortunę i ocalił życie.

OPOWIEŚCI SSIDI KURA

z tradycji kałmucko—tatarskiej

Chwała Ci, Nangasuna Garbi! Jesteś olśniewający — zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Jesteś świętym naczyniem wzniosłości, znawcą skrytych myśli, drugim spośród nauczycieli — skłaniam przed Tobą głowę. Niezwykłe przygody, jakie spotkały Nangasunę i spokojnego, wędrownego Syna Chana, a także pouczające opowieści o mędrцу Ssidi — wszystko to zawarte jest w trzynastu fascynujących historiach.

Na początku jednak warto opowiedzieć, skąd te historie się wzięły.

W samym sercu Indii żyło kiedyś siedmiu braci, którzy byli magami i mędrcami posiadającymi niezwykle moce. Niezbyt daleko od nich, o jedną jednostkę drogi dalej, mieszkali dwaj bracia — synowie Chana. Najstarszy z nich udał się do magów, by zgłębiać ich sztukę. Choć spędził u nich siedem lat, nie zapoznali go z prawdziwą tajemnicą magii.

Pewnego dnia jego młodszy brat, niosąc mu jedzenie, zerknął przez szczelinę w drzwiach i przypadkiem pojął istotę ich magii. Nie oddał jednak bratu posiłku — wrócił do pałacu. Tam powiedział starszemu:

— Zachowajmy to, czego się dowiedzieliśmy, dla siebie. W naszej stajni mamy pięknego konia — weź go, ale nie pokazuj się w pobliżu magów. Sprzedaj go w ich kraju i wróć z towarem. Gdy to rzekł, przemienił się w konia. Starszy brat nie posłuchał rady. Pomyślał: „Siedem lat studiowałem magię i niczego się nie nauczyłem. Skąd mój brat miałby mieć takiego konia? Muszę się nim przejechać.” Wsiadł na konia, lecz ten — napędzany mocą magii — pogalopował prosto do siedziby magów i nie dał się zawrócić. „Skoro już tu jestem, sprzedam go magom” — postanowił.

Zawołał do nich:

— Widzieliście kiedyś podobnego konia? To mój brat go znalazł. Magowie rozpoznali w nim magiczne stworzenie. Naradzili się:

— Jeśli magia stanie się powszechna — nie będzie już żadnej sztuki tajemnej. Zabijmy więc tego konia.

Zapłacili wymaganą cenę i uwiązali go w stajni — za głowę, ogon i nogi — by nie uciekł.

Koń pomyślał: „Mój brat mnie nie posłuchał i oto, do czego doprowadził.” Postanowił się przemienić — dostrzegł rybę w wodzie i sam zmienił się w rybę. Magowie z kolei zmienili się w siedem czapli i ruszyli w pogoń. Gdy niemal go dopadli, ryba spojrzała w niebo i ujrzała gołębia — natychmiast przybrała jego postać. Magowie stali się siedmioma jastrzębiami i lecieli za nim przez góry i rzeki. Kiedy niemal go dopadli, gołąb poleciał na wschód, ku spokojnej jaskini w skale Gulumtschi, gdzie schronił się w objęciach Nangasuny Bakt-schi — nauczyciela.

Jastrzębie przemieniły się w siedmiu zebraków i podeszły pod skałę. Bakt-schi pomyślał: „Co się dzieje, że ten gołąb ucieka przed siedmioma jastrzębiami?” Zapytał więc:

— Czemu tak uciekasz?

Gołąb wyjawiał mu swoją historię i rzekł:

— Gdy żebracy poproszą cię o różaniec, przemienię się w jeden z jego paciorków — weź ten paciorek do ust i rzuć cały różaniec przed siebie. Żebracy rzeczywiście przyszedli i poprosili o różaniec. Baktschi zgodnie z planem wziął pierwszy paciorek do ust, a resztę rozrzucił — paciorki przemieniły się w robaki, a żebracy w ptaki, które je pożarły. Wtedy Baktschi upuścił ostatni paciorek — ten zamienił się w człowieka z mieczem. Zabił on siedem ptaków, które wróciły do ludzkich postaci. Baktschi poczuł niepokój i pomyślał: „Ocaliłem życie jednemu człowiekowi, ale przez to siedmiu straciło życie. Czy dobrze uczyniłem?”

Ten odpowiedział:

— Jestem synem Chana. Skoro dla mojego ocalenia inni zginęli, aby odkupić winę i okazać wdzięczność, spełnię każde twoje polecenie. Baktschi odrzekł:

— W zimnym Lesie Śmierci przebywa Ssidi Kur. Jego tors jest złoty, dolna część ciała wykonana jest z mosiądzu, a głowa ze srebra. Złap go i przynieś tutaj. Kto go pojmie, ten przez tysiąc lat będzie człowiekiem na ziemi. Syn Chana zażywał:

— Wskaż mi drogę, powiedz, co mam zabrać, jak się przygotować.

Baktschi udzielił mu wszystkich wskazówek:

— W odległości jednego *berrena* znajdziesz mroczny las, przez który prowadzi tylko jedna ścieżka. Miejsce to pełne jest duchów. Gdy je spotkasz, zawołaj: „Duchy, chu lu chu lu ssochi!” — rozproszą się. Idź dalej, napotkasz kolejne — wtedy powiedz: „Duchy, chu lu chu lu ssosi!” Potem ujrzysz dziecięce duchy — zawołaj: „Duchy dzieci, Ri ra pa dra!” W samym środku lasu, przy drzewie *amiri*, siedzi Ssidi Kur. Gdy cię zobaczy, ucieknie na drzewo — wtedy groźnie wy-

machuj toporem zwanym Białym Księżycem i każ mu zejść. Do schwytania go użyj tego worka, w którym zmieści się stu ludzi, i stu sążni sznura do skrępowania. Dzięki temu plac-kowi nigdy nie zabraknie ci jedzenia. Kiedy już go złapiesz, idź w milczeniu, aż wrócisz do domu. Odtąd zwany będziesz Spokojnym Wędrownym Synem Chana. Syn Chana ruszył w drogę. Gdy Ssidi Kur zobaczył go, umknął na drzewo. Wę-drowiec zbliżył się i przemówił groźnie:

— Mój nauczyciel to Nangasuna Garbi, mój topór to Białły Księżyc, a moim jedzeniem — nieskończony placek. Ten wo-rek pomieści stu ludzi, ten sznur cię skrępuje. Ja jestem Spo-kojnym Wędrownym Synem Chana. Zejdź, albo zetnę drze-wo. Ssidi Kur zszedł. Syn Chana włożył go do worka, zwią-zał, posilił się i wyruszył w długą drogę powrotną. Po wielu dniach Ssidi odezwał się:

— Długa podróż jest męcząca. Opowiem ci historię, albo ty opowiedz mi swoją. Syn Chana milczał. Ssidi nalegał:

— Jeśli ty chcesz mówić — kiwnij głową. Jeśli ja mam opowiedzieć — potrząśnij nią. Ponieważ Syn Chana jedynie potrząsnął głową, Ssidi rozpoczął swoją opowieść...

PRZYGODY BOGATEGO MŁODZIEŃCA

Dawno, dawno temu, w rozległym królestwie, żyło szczęściu niezwykle utalentowanych ludzi: bogaty młodzieniec, rachmistrz, mechanik, malarz, lekarz i kowal. Postanowili opuścić swoje rodzinne domy i razem wyruszyć w świat, by szukać szczęścia. Gdy dotarli do ujścia wielkiej rzeki, każdy z nich zasadził drzewo życia — znak ich istnienia i losu. Potem rozdzielili się, każdy podążając za jednym z dopływów rzeki, obiecując, że spotkają się w tym samym miejscu. Umówili się też, że jeśli czyjeś drzewo uschnie, oznaczać to będzie nieszczęście i wtedy wyruszą na jego poszukiwania.

Bogaty młodzieniec trafił do pięknego ogrodu, gdzie przy wejściu do domu siedzieli staruszek i staruszka. Gdy powiedział im, że wędruje w poszukiwaniu swego losu, zaprosili go do siebie i przedstawili mu swoją córkę — piękną, smukłą i uprzejmą dziewczynę. Młodzieniec natychmiast zakochał się w niej i uznał, że dobrze zrobił, opuszczając rodzinny dom. Zamieszkali razem i żyli szczęśliwie.

Wtedy krajem rządził potężny Chan. Pewnego wiosennego dnia jego słudzy, kąpiąc się w rzece, znaleźli niezwykle drogie kolczyki. Były one własnością żony bogatego młodzieńca. Zdumieni ich urodą, zanieśli je Chanowi. Ten,

zachwycony, kazał odnaleźć kobietę, do której należały. Gdy ją ujrzał, był tak oczarowany jej pięknem, że postanowił zatrzymać ją w swoim pałacu. Choć była wierna swojemu mężowi, Chan nie chciał jej wypuścić, a bogatego młodzieńca kazał natychmiast usunąć sprzed swoich oczu.

Śludzy zabrali młodzieńca nad rzekę, wkopali dół, włożyli go do środka, przykryli ogromnym głazem i zostawili tam na pewną śmierć. Lecz wkrótce jego dawni towarzysze wrócili w umówione miejsce i zauważyli, że drzewo życia bogatego młodzieńca uschło. Ruszyli jego śladem. Rachmistrz wyliczył, gdzie leży jego ciało, ale nie byli w stanie unieść kamienia. Wtedy kowal rozbił głaz młotem i wydobył martwe ciało. Lekarz sporządził napój przywracający życie i podał go młodzieńcowi, który powrócił do świata żywych.

Gdy doszedł do siebie, opowiedział wszystko, co go spotkało. Towarzysze postanowili pomóc mu odzyskać żonę. Mechanik skonstruował drewnianego ptaka — cudownego *gerudina* — który potrafił latać w górę, w dół i na boki, a do tego wyglądał bajecznie dzięki pracy malarza. Młodzieniec wszedł do środka i wzbił się w powietrze. Przeleciał nad pałacem Chana, wzbudzając zachwyt jego mieszkańców. Chan, ciekawy, wysłał swoją żonę — dawną żonę młodzieńca — aby nakarmiła dziwnego ptaka.

Gdy kobieta podeszła, ptak zniżył lot, a młodzieniec otworzył drzwiczki. Widząc się znów, rzucili się sobie w ramiona. Mężczyzna wyznał, jak bardzo za nią tęsknił, a ona z radością powiedziała, że choć nie wierzyła, iż go jeszcze kiedyś zobaczy, to jednak serce nadal należy do niego. Wsiadła do ptaka i razem odlecieli w przestworza.

Chan, widząc to, oszalał z gniewu. Upadł na ziemię i płakał, że jego własna decyzja — wysłanie żony na dach — obróciła się przeciwko niemu.

Bogaty młodzieniec wylądował w miejscu, gdzie czekali jego towarzysze. Wyszedł z *gerudina*, a za nim jego żona — tak piękna, że wszyscy zakochali się w niej od pierwszego wejrzenia. On jednak poprosił ich:

— To wy mnie uratowaliście, wskrzesiliście z martwych, pomogliście odzyskać ukochaną. Proszę, nie odbierajcie mi jej teraz. Wtedy każdy zaczął rościć sobie prawo do kobiety. Rachmistrz mówił, że bez jego obliczeń nie znaleźliby ciała. Kowal twierdził, że to on wyciągnął ciało spod głazu. Lekarz przypominał, że to on przywrócił życie. Mechanik podkreślał, że tylko dzięki jego ptakowi udało się ją odzyskać. Malarz zaś twierdził, że to przez jego malunki kobieta w ogóle podeszła do ptaka.

Spór zamienił się w kłótnię, a ta w tragedię — wszyscy wyciągnęli noże i pozabijali się nawzajem.

Syn Chana, słuchając tej historii, westchnął ze smutkiem:

— Biedna kobieta... A wtedy Ssidi rzekł:

— Władco losu, wypowiedziałeś swoje słowo: Ssarwala missbrod jackzang!

I w tym momencie wyskoczył z worka, wzbijając się w powietrze.

Tak kończy się pierwsza opowieść Ssidi Kura — opowieść o bogatym młodzieńcu i jego niezwykłych przygodach.

PRZYGODY SYNA ŻEBRAKA

Kiedy Syn Chana ponownie dotarł do ponurego Lasu Śmierci, zatrzymał się pod drzewem *amiri* i zawołał groźnie, wymachując rękami: — Zejdź, ty martwy, albo zetnę to drzewo! Wówczas Ssidi, martwy duch, zstąpił. Syn Chana schował go do worka, dokładnie związał sznurkiem, zjadł swoje zapasy i ruszył w dalszą drogę z nietypowym towarzyszem. Wówczas martwy przemówił:

— Skoro przed nami długa wędrówka, opowiedz jakąś przyjemną historię. Jeśli ty nie chcesz, ja to zrobię.

Ale Syn Chana milczał. Więc Ssidi rozpoczął swoją opowieść...

Dawno temu żył potężny Chan, który władał krainą pełną targowisk. U źródła rzeki przepływającej przez jego ziemie znajdowały się ogromne bagna, zamieszkiwane przez dwa przerośnięte żaby—krokodyle. Te stwory nie pozwalały wodzie płynąć dalej, przez co rok w rok ziemie usychały, a ludzie — dobrzy i źli — cierpieli. Dopiero gdy ktoś został im ofiarowany na pożarcie, woda znów zaczynała płynąć. W końcu los padł na samego Chana. Choć był niezbędny swojemu państwu, nic nie mogło go ocalić. Wraz z synem usie-

dli w smutku, by rozważyć, kto z nich powinien iść na śmierć.

— Jestem już stary — rzekł Chan — nikt nie będzie po mnie płakał. Ja pójdę. Ty zostań i rządz dalej. Ale syn odpowiedział:

— O, Tângâri! To nie tak powinno być. Ty mnie wychowałeś, ojczu. Jeśli Chan i jego żona mają zostać, po co im syn? To ja pójdę i stanę się strawą dla żab. Tak powiedział. Ludzie opłakiwali go, a on poszedł.

Towarzyszem syna Chana był chłopak z ubogiej rodziny. Gdy usłyszał o jego zamiarze, zapłakał: — Od dziecka mnie chroniłeś. Pójdę z tobą i podzielę twój los. Wyruszyli więc razem, aż dotarli na skraj bagna, gdzie podsluchali rozmowę dwóch żab — jednej żółtej, drugiej niebieskiej. Te mówiły, że jeśli syn Chana odetnie im głowy, a potem jeden zje żółtą, a drugi niebieską, to z ich ust zaczną wypadać złoto i mosiądz — i kraj nie będzie musiał już więcej składać ofiar.

Syn Chana znał wszystkie języki, więc wszystko zrozumiał. Obaj zabili żaby, zjedli je i rzeczywiście — zaczęli pluć złotem i mosiądzem.

— Skoro żaby nie żyją, woda znów popłynie. Wróćmy do kraju! — zaproponował towarzysz.

Ale książę powiedział:

— Nie, jeśli wrócimy, ludzie uznają, że jesteśmy duchami. Lepiej wędrujmy dalej.

Wędrując przez góry, trafili do gospody, gdzie mieszkały piękne kobiety — matka i córka. Pytali o trunki, a gdy te zapytały, czym zapłacą, pokazali swoje złoto i mosiądz. Kobiety z uciechą ich ugościły, napiły do nieprzytomności, ograbiły i wyrzuciły na drogę.

Po przebudzeniu szli wzdłuż rzeki, aż dotarli do lasu, gdzie dzieci kłóciły się o czapkę. Czapka ta miała niezwykłą

moc — kto ją założył, stawał się niewidzialny dla ludzi, duchów i bogów. Syn Chana zaproponował, że przypilnuje czapki, a dzieci mają się ścigać. Gdy pobiegły, założył ją na głowę i zniknął. Dzieci nie znalazły czapki i odeszły z płaczem.

Dalej spotkali grupę kłócących się demonów — Tschadkurrów — spierających się o buty. Kto je nosił, mógł się przenieść gdziekolwiek zapragnął. Syn Chana sprytnie ich oszukał: kazał biec w jedną stronę, a w tym czasie jego towarzysz (niewidzialny dzięki czapce) schował buty. Demony nie odnalazły ich więcej. Wędrowcy założyli buty, pomyśleli o miejscu wyboru nowego Chana, zasnęli — a po przebudzeniu znaleźli się w pustym pniu drzewa, w samym sercu stolicy.

Tego dnia ludzie mieli rzucać Baling — świętą figurę z ciasta — by wybrać nowego władcę.

— Na kogo spadnie, ten będzie Chanem! — krzyczano.

Ale Baling zawisł na drzewie.

— Co to znaczy? Mamy mieć drzewo za władcę? Sprawdzili więc pień, a z jego wnętrza wyszli dwaj młodzieńcy. Ludzie powiedzieli:

— Sprawdzimy rano, co mają w ustach. I tak uczynili — jedni pluli białą pianą, inni trawą, ale ci dwaj — złotem i mosiądzem. Wybrano ich: jeden został Chanem, drugi ministrem, a córkę poprzedniego władcy poślubiono nowemu.

Wkrótce minister zauważył, że żona Chana codziennie udaje się do wysokiego budynku. Zaintrygowany, założył niewidzialną czapkę i poszedł za nią. Widział, jak szykuje jedwabne poduszki, zapala kadzidła, rozstawia przekąski. Po chwili nadleciał piękny ptak. Kobieta przyjęła go z czułością, a z jego piór wyszedł Solangdu — boski syn Tângâri, nie-

ziemsko piękny. Ułożył się na poduszkach, jadł smakołyki, a potem spytał ją, co sądzi o mężu. Odpowiedziała:

— Za mało go znam.

Następnego dnia Solangdu miał przybyć w postaci ptaka rajskiego. Minister ostrzegł Chana, a gdy ptak nadleciał, schwytał go za ogon i wrzucił do ognia. Chan ciął go mieczem, lecz żona powstrzymała jego rękę i tylko skrzydła ptaka się spaliły.

— Biedny ptaszku! — płakała.

Trzeciego dnia znów udała się na spotkanie. Solangdu przyleciał poraniony, ociekający krwią. — Twój mąż ma ciężką rękę — ogień mnie spalił, nie wrócę już więcej. Ale kobieta błagała, by przyszedł choć w pełni księżyca. Potem wróciła do męża — i odtąd kochała go całym sercem.

Pewnego dnia minister udał się do świątyni, gdzie przez szczelinę zobaczył człowieka, który rozłożył papierowego osła, przeturlał się po nim i sam się w osła przemienił. Pobiegał, potem znów się przeturlał i wrócił do ludzkiej postaci. Papier schował w ręce bożka.

Kiedy mężczyzna odszedł, minister ukradł papier. Wspominając oszustwo dwóch kobiet z gospody, udał się do nich, udając wdzięczność. Podarował im złoto, a na pytanie skąd je ma, powiedział:

— Po prostu się turlałem po tym papierze. Kobiety oczywiście też chciały spróbować — zamieniły się w osły. Minister zaprowadził je do Chana, który polecił, by przez trzy lata nosiły kamienie. Gdy ich grzbiety pokryły się ranami, Chan zlitował się i kazał je uwolnić. Po przeturlaniu się z powrotem, znów były kobietami — ale były już stare i wychudzone.

— Biedaczki! — westchnął Syn Chana. Na to Ssidi odparł tylko:

— Władco przeznaczenia, twe słowa to ssarwała misssdo-
od jakzank!

I z tymi słowami uniósł się w powietrze i uleciał z worka.

Tak zakończyła się jego opowieść. Kolejna miała trakto-
wać o przygodach syna biedaka.

PRZYGODY MASSANGA

Kiedy Syn Chana dotarł u stóp drzewa *amiri* i przemówił tak, jak robił to wcześniej, pojawił się Ssidi. Pozwolił się zapakować do worka, zawiązać liną i nieść. Tak jak wcześniej, przemówił do Syna Chana, ale ten tylko pokręcił głową. Wtedy Ssidi zaczął opowiadać historię:

Dawno, dawno temu, w pewnym kraju żył biedny człowiek, który miał tylko jedną krowę. Ponieważ jednak krowa nie chciała się cielić, zrozpaczony mężczyzna rzekł:

— Jeśli nie urodzi cielęcia, nie będę miał mleka i umrę z głodu i pragnienia. Mijały miesiące, aż w końcu zamiast cielęcia pojawił się człowiek — ale nie taki zwyczajny. Miał rogi i długi, bydlęcy ogon. Gdy gospodarz go zobaczył, wpadł w złość i zamierzał go zabić, ale rogaty mężczyzna powiedział:

— Nie zabijaj mnie, ojcie, a za twoje miłosierdzie zostaniesz nagrodzony. I z tymi słowami uciekł w głąb lasu.

W lesie spotkał człowieka o czarnym obliczu.

— Kim jesteś? — zapytał rogaty.

— Jestem synem lasu, nazywam się Iddar i pójdę z tobą, dokądkolwiek się udasz — odparł. Ruszyli razem w drogę i dotarli na porośniętą trawą równinę, gdzie spotkali zielonego człowieka.

— Kim jesteś? — zapytali. — Jestem synem trawy. Dołączę do was — odpowiedział.

W trójkę wędrowali dalej i w końcu dotarli do bagna, gdzie napotkali białego człowieka.

— Jestem synem sitowia — rzekł — i również do was dołączę.

Cała czwórka ruszyła dalej, aż dotarła do dzikiej, górskiej krainy. Tam znaleźli chatę pełną jedzenia i napojów, w której postanowili zamieszkać. Każdego dnia trzech z nich wychodziło na polowanie, a czwarty zostawał w chacie, aby przygotować posiłek. Pierwszego dnia został Iddar — Syn Lasu. Gdy przygotowywał mleko i mięso, pojawiła się staruszka — drobna, chudziutka, jakby zaledwie na szerokość dłoni, z workiem na plecach. Zawołała:

— Och! Kto tu siedzi i gotuje mięso? Pozwól, że skosztuję mleka i mięsa. Choć zjadła tylko „odrobinkę”, wszystko zniknęło. Gdy odeszła, Iddar zawstydzony upozorował na pad — zrobił ślady końskich kopyt i wypuścił strzałę na dziedziniec. Gdy myśliwi wrócili, powiedział:

— Napadło mnie stu jeźdźców, wszystko zabrali i ledwo uszedłem z życiem!

Towarzysze zobaczyli ślady i uznali, że mówi prawdę.

Drugiego dnia to Syn Trawy został w chacie. Spotkało go to samo, więc zrobił ślady bydła i również skłamał. Trzeciego dnia przyszła kolej na Syna Sitowia — i on też został okłamany i zrobił ślady mułów.

Czwartego dnia w chacie został Massang. Staruszka przyszła, tak jak wcześniej, poprosiła o jedzenie. Ale Massang podejrzewał, że to ona odpowiada za znikające jedzenie, więc rzekł:

— Najpierw przynieś mi wodę. Dał jej wiadro z dziurami, przez które woda uciekała. Kiedy stara kobieta próbowała

bezsukutecznie napełnić naczynie, Massang zajrzał do jej worka. Znalazł w nim żelazny młot, szczypce i linę. Podmienił je na drewniane narzędzia i zgniłe sznurki.

Wkrótce staruszka wróciła. Powiedziała:

— Nie mogę przynieść wody. Zmierzmy się więc w walce! Próbowała związać Massanga zgniłymi sznurkami, ale ten bez trudu je rozerwał. Potem on ją związał i unieruchomił. Wtedy zaproponowała:

— Uszczypnijmy się nawzajem szczypcami. Massang wyrwał jej kawał mięsa wielki jak głowa. Staruszka jęknęła:

— Masz rękę jak z kamienia!

Potem próbowała uderzyć go młotkiem — ale drewniany młot się rozpadł. Massang za to chwycił żelazny młot i tak w nią przywalił, że uciekła ranna, krzycząc.

Kiedy wrócili pozostali towarzysze, zapytali:

— Massangu, czy i ty ucierpiałeś?

Ale on odparł:

— Wy tchórze, wszyscy kłamaliście. Ja się z nią rozprawiłem. Idziemy za nią! Ruszyli więc śladem krwi, aż dotarli do mrocznej groty w skale. Na jej dnie leżała martwa wiedźma, a wokół niej — złoto, zbroje i inne skarby. Massang zaproponował:

— Ja zejść i będę podawać wam kosztowności albo wy zejździe, a ja będę wyciągać. Towarzysze jednak bali się, bo wiedzieli, że kobieta była czarownicą. Massang sam zszedł do groty i podał im wszystkie skarby. Wtedy reszta uznała, że lepiej zostawić go tam na zawsze — i odeszli z łupem.

Massang, uwięziony w grocie, nie poddał się. Znalazł korę, posadził ją w ziemi i rzekł: — Jeśli naprawdę jestem Massangiem, niech z tej kory wyrosną trzy wielkie drzewa. Jeśli nie, niech umrę tutaj. Potem zasnął — na wiele lat, dotknąwszy ciała czarownicy. Gdy się obudził, trzy drzewa

wyrośli i sięgały aż po krawędź groty. Wdrapał się i wrócił do chaty, ale nikogo już tam nie było. Wziął więc swój żelazny łuk i strzały i wyruszył na poszukiwanie dawnych towarzyszy. Znalazł ich — mieli już domy, żony i rodziny.

— Gdzie wasi mężowie? — zapytał Massang.

— Na polowaniu — odparły kobiety.

Massang poszedł ich szukać. Gdy go zobaczyli, przerażeni powiedzieli:

— Ty jesteś prawdziwym bohaterem! Zabierz nasze żony i dobytek, a my odejdziemy dalej w świat! Massang odparł:

— Nie tak powinniście byli postąpić, ale ja zamierzam nagrodzić mojego ojca — życie więc jak dotąd.

W drodze spotkał strumień, z którego wyłoniła się piękna dziewczyna. Gdy szła, z jej stóp wyrastały kwiaty. Massang podążał za nią aż do nieba. Tam przywitał go Churmusta Tângâri — Opiekun Ziemi. Powiedział:

— Dobrze, że tu jesteś, Massangu. Codziennie walczymy z czarownicami. Dziś się rozejrzyj, a jutro walcz razem z nami.

Następnego dnia, gdy armia Światła była wypierana przez czarne siły Schumnu, Churmusta rzekł:

— Biali to Tângâri — nasi, czarni to Schumnu. Wyceluj w oko ich przywódcy. Massang wypuścił strzałę i trafił, sprawiając, że wróg z krzykiem uciekł. Churmusta powiedział:

— Zasłużyłeś na nagrodę — zostań z nami na zawsze.

Ale Massang odparł:

— Muszę jeszcze nagrodzić mojego ojca.

Wtedy Churmusta wręczył mu cudowny kamień bogów — Dschindamani — i powiedział:

— Idź krętą ścieżką do groty Schumnu. Zapukaj i powiedz: „Jestem ludzkim lekarzem”. Zaprowadzą cię do Chana Schumnu. Gdy dotkniesz strzały w jego oku, rozsyp się dem rodzajów ziarna ku niebu i wbij strzałę jeszcze głębiej.

Massang postąpił zgodnie z instrukcją — zapukał, podał się za lekarza, dotknął strzały w oku wroga.

— Już mi lepiej — rzekł Chan. Ale Massang nagle wbił strzałę jeszcze głębiej, rzucił ziarna i z nieba spadł na ziemię łańcuch.

Gdy chciał go chwycić, kobieta Schumnu uderzyła go żelaznym młotem tak potężnie, że z tego ciosu na niebie pojawiło się siedem gwiazd.

— Więc nie zdołałeś nagrodzić swojego ojca? — zapytał Syn Chana.

— Władco Przeznaczenia, wypowiedziałeś słowa prawdy — odrzekł Ssidi i uniósł się w powietrze, znikając z worka.

Tak zakończyła się trzecia opowieść Ssidi — historia przygód Massanga.

CZARODZIEJ Z GŁOWĄ ŚWINI

Dawno, dawno temu, w szczęśliwej krainie żyli sobie mężczyzna i kobieta. On nie miał wielu zalet — interesowało go tylko jedzenie, picie i spanie. W końcu jego żona powiedziała:

— Zmarnowałeś całe nasze dziedzictwo. Wstań wreszcie z łóżka i kiedy ja pójdę do pracy w polu, ty rozejrzyj się trochę po okolicy! Mężczyzna posłuchał. Podczas swej wędrówki zobaczył tłum ludzi przechodzących za pagodą, prowadzących bydło, a także ptaki, lisy i psy tłoczące się i hałasujące wokół jednego miejsca. Zbliżył się tam i ku swojemu zdziwieniu znalazł pęcherz pełen masła. Zabrał go więc do domu i położył na półce. Gdy żona wróciła i zobaczyła zdobycz, zapytała:

— Gdzie to znalazłeś?

Odpowiedział:

— Zrobiłem tak, jak mi kazałaś, i oto, co zdobyłem. Kobieta była zdumiona:

— Wyszedłeś tylko na chwilę, a już tyle znalazłeś!

To zmotywowało mężczyznę — postanowił pokazać, na co go stać. Poprosił żonę, by dała mu konia, ubranie i psa myśliwskiego. Ona spełniła jego prośbę. Ubrał się, zabrał

łuk, płaszcz, czapkę, dosiadł konia, psa przywiązał do uzdy i ruszył przed siebie. Wkrótce zobaczył lisa. Pomyślał: „Z jego futra zrobię żonie czapkę.” Rzucił się w pogoń, ale lis schronił się w norze chomika. Mężczyzna zsiadł z konia, zdjął swoje rzeczy, zostawił psa przywiązanego, a norę zasłonił czapką. Zaczął walić w ziemię kamieniem, żeby wypłoszyć lisa. Ten w końcu wybiegł... z czapką na głowie! Pies rzucił się za nim, ciągnąc za sobą konia, i oboje zniknęli. A mężczyzna — został z niczym.

Wędrując z dalej, dotarł do kraju potężnego Chana. Ukrył się w stajni, w stercie siana, wystawiając tylko oczy. Wkrótce ukochana Chana przyszła obejrzeć swojego ulubionego konia i przypadkowo zostawiła na ziemi talizman życia królestwa. Mężczyzna widział to wszystko, ale był zbyt leniwy, by podnieść kamień. Po zachodzie słońca krowy podeптаły go, a później służba podczas sprzątania wyrzuciła talizman na hałdę.

Następnego dnia przez dźwięk bębnów ogłoszono, że ukochana Chana zgubiła cudowny kamień. Zwołano wszystkich wróżbitów, magów i tłumaczy znaków. Mężczyzna wychylił się z siana i powiedział, że jest magiem. Ludzie zaprowadzili go do Chana, który podarował mu szatę. Zapytany, czego potrzebuje do rytuału, zażądał świńskiej głowy, kolorowych tkanin i figurki z ciasta.

Gdy wszystko zostało przygotowane, przez trzy noce medytował. W dzień ceremonii przywdział rytualny płaszcz, wyszedł na ulicę z głową świni w ręku i rzekł:

— Tu nie i tam nie.

Ludzie byli poruszeni. Wyruszył do pałacu, Chan i jego świta podążyli za nim. Gdy doszli do hałdy, zatrzymał się, odkopał cudowny kamień i oczyścił go. Wszyscy byli zdumieni:

— Jesteś prawdziwym mistrzem magii! Chan zaoferował mu nagrodę, jaką tylko zapragnie. Mag poprosił o konia, siodło, luk, psa i lisa — wszystko, co wcześniej stracił. Chan rozkazał spełnić jego życzenie i dołożył jeszcze dwa słonie — jeden z mięsem, drugi z masłem.

Żona maga przywitała go słowami:

— Teraz naprawdę jesteś kimś!

W domu opowiedział jej wszystko.

Odpowiedziała:

— Jesteś głupcem. Za taką przysługę prosić o takie drobiazgi? Jutro idę do Chana.

Napisała list: „Wiedząc, że kamień może nadał wywierać zły wpływ, poprosiłam o psa i lisa, by zneutralizować zło. O reszcie zadecyduje Chan.” Chan przeczytał list i posłał kosztowne dary. Mag żył odtąd w dobrobycie.

W sąsiednim kraju mieszkało siedmiu braci, Chanów. Pewnego dnia w lesie spotkali piękną dziewczynę z bawołem. Dziewczyna zapytała:

— Skąd jesteście?

Bracia odpowiedzieli, że są Chanami z sąsiedniego kraju. Wtedy dziewczyna powiedziała, że pochodzi ze wschodu i jest córką Chana. Zapytali ją, czy zostanie ich żoną. Zgodziła się. Lecz zarówno ona, jak i bawół byli Manguszami — złymi duchami żerującymi na ludziach. Co roku jeden z braci ginął. Gdy został już ostatni, a był ciężko chory, wezwano maga ze świńską głową.

Mag spędził noc na rozmyślaniach, a o poranku, pewny swoich mocy, wyruszył. Przybył do pałacu w rytualnym stroju, z różańcem w jednej dłoni i świńską głową w drugiej. Obecność dwóch Manguszy natychmiast wywołała w nim niepokój. Mag położył figurkę z ciasta na poduszce, uniósł świńską głowę i wypowiedział inkantacje. W jednej chwili

kobieta zaprzestała dręczenia Chana i zniknęła. Chan pogrążył się we śnie. Mag, przerażony tym nagłym bezruchem, pomyślał, że Chan umarł i rzucił się do panicznej ucieczki. Wpadł do skarbcza, skąd natychmiast usłyszał okrzyki "Złodziej!". Schronił się w stajni, gdzie natknął się na bawoła. Trzykrotnie uderzył zwierzę świńską głową, a bawół zerwał się i uciekł.

Mag ruszył za nim. Z ukrycia usłyszał rozmowę dwóch Manguszy — naradzali się, jak przeżyją kolejny dzień, wiedząc, że zostaną odkryci. Kobieta bała się najbardziej:

— Zbiorą ludzi z bronią i powiedzą: pokaż swoją prawdziwą postać — wtedy nas zniszczą. Mag zrozumiał, co ma robić. Rano wezwał ludzi, kazał kobietom przynieść drewno, a sługom przygotować stosy. Nakazał osiodłać bawoła, objechał zgromadzonych, a potem trzykrotnie uderzył zwierzę świńską głową i rozkazał:

— Pokaż swoją prawdziwą formę! Bawół zamienił się w potwora — oczy mu płonęły, kły sięgały piersi i brwi. Ludzie rzucili się na niego z bronią i spalili go na stosie. Potem przyprowadzono żonę Chana. Gdy mag ją uderzył, i ona pokazała się jako Mangusz. Tej samej nocy również została zniszczona.

Chan, uradowany, zapytał maga, jak może mu się odwdziżyć. Mag odpowiedział:

— W naszym kraju brakuje kółek do nosów dla bydła. Daj mi trochę. Chan uśmieł się i wysłał go z trzema workami kółek oraz siedmioma słoniami załadowanymi mięsem i masłem.

Żona maga przywitała go serdecznie i powiedziała:

— Teraz naprawdę jesteś kimś! W nocy zapytała:

— Za co dostałeś te bogactwa?

Odpowiedział:

— Wyleczyłem Chana i spaliłem dwoje Manguszy. Ona na to:

— I za taki czyn prosisz o kółka dla bydła? Jutro idę do Chana!

Następnego dnia zaniósł list: „Mag wiedział, że po wielkim złu pozostał cień zła — dlatego poprosił o kółka. Co do reszty — zdecyduje Chan.”

Chan przeczytał i powiedział:

— Ma rację.

Uhonorował maga, jego rodzinę i wszystkich krewnych

— „Gdyby nie ty, byłbym martwy. Królestwo by upadło, a ludzie zostali pożarci przez Manguszów.” I dał mu wszelkie dowody swej wdzięczności.

— Byli mądrzy, oboje — i mąż, i żona — rzekł Syn Chana.

— Władco Przeznaczenia — odpowiedział Ssidi — oto prawdziwe słowa! — po czym z hukiem wydostał się z worka i uniósł się w powietrze.

Tak zakończyła się czwarta opowieść Ssidi — o Magu z Głową Świni.

HISTORIA NARRANI GARRAL I JEGO BRATA

Gdy Syn Chana podróżował, tak jak wcześniej, dźwigając na plecach Ssidi, ten znów zapytał, kto powinien opowiedzieć historię. Lecz Syn Chana jedynie pokręcił głową, nie mówiąc ani słowa. Wtedy Ssidi rozpoczął swoją opowieść:

Dawno temu panował w pewnej szczęśliwej krainie Chan imieniem Guchanasschang. Miał żonę i syna o imieniu Narrani Garral (Blask Słońca). Po śmierci swojej pierwszej żony, Chan ożenił się ponownie, a jego druga małżonka urodziła mu kolejnego syna — Ssarrani Garral (Blask Księżycy). Gdy obaj chłopcy dorośli, macocha zaczęła knuć. Wiedziała, że dopóki żyje starszy brat, Narrani Garral, jej syn Ssarrani Garral nigdy nie zasiądzie na tronie.

Wkrótce potem zachorowała. Leżała, miotając się z bólu, wzbudzając współczucie i troskę Chana. Ten zapytał, co może dla niej uczynić, by przynieść ulgę. Na to odparła:

— Jeszcze za czasów, gdy mieszkałam z rodzicami, nawiedzała mnie ta choroba. Teraz stała się nie do zniesienia. Znam jeden sposób, by się jej pozbyć — lecz jest on tak okrutny, że nie ma dla mnie ratunku.

Chan nalegał, by mu powiedziała, co trzeba uczynić — przysięgał, że oddałby nawet połowę królestwa, byle ją ocalić. Wtedy odrzekła:

— Można mnie uratować tylko wtedy, gdy zostanie upieczzone serce jednego z twoich synów w tłuszczu bestii zwanej Gunsą. Ale przecież nie poświęcisz Narrani Garrał'a... a ja, jako jego matka, nie zniosę myśli, by zginął Ssarrani Garrał. Nie pozostaje mi nic innego, jak umrzeć.

Chan długo milczał. Wreszcie powiedział: — Narrani Garrał to mój ukochany syn, lecz skoro to jedyny sposób, oddam go jutro w ręce Jargatschi — sług sprawiedliwości. Ssarrani Garrał podsłuchiwał tę rozmowę i natychmiast pobiegł do brata, by go ostrzec.

— Jutro cię zabiją — powiedział z przestrochaniem.

Narrani Garrał wysłuchiwał wszystkiego spokojnie, a potem rzekł:

— Zostań w domu, czcij ojca i matkę. Ja muszę uciekać. Ale Ssarrani Garrał nie chciał go opuścić.

— Nie zostanę sam. Pójdę z tobą, dokądkolwiek się udasz.

Ponieważ egzekucja miała się odbyć następnego dnia, bracia spakowali placki ofiarne z ołtarza, wymknęli się z pałacu nocą, przy pełni księżyca, i ruszyli w góry. Szli dniem i nocą, aż dotarli do wyschniętego koryta rzeki. Zabrakło im jedzenia i wody. Ssarrani Garrał osunął się na ziemię wyczerpany. Narrani Garrał, przejęty rozpaczą, powiedział:

— Pójdę szukać wody. Poczekaj tu chwilę.

Lecz kiedy wrócił, jego brat już nie żył. Ze łzami w oczach przykrył ciało kamieniami i ruszył dalej przez góry. Dotarł do jaskini, gdzie mieszkał stary Arschi. Starzec spojrział na niego i zapytał:

— Skąd przybywasz? Twoja twarz nosi ślady wielkiego cierpienia.

Młodzieniec opowiedział wszystko, a Arschi — posiadający moc przywracania życia — poszedł z nim do grobu i wskrzesił Ssarrani Garrał'a.

— Czy będziecie dla mnie jak synowie? — zapytał.

I tak się stało.

W niedalekiej krainie panował inny potężny Chan. Zbliżał się czas nawadniania pól, lecz krokodyle blokowały źródła rzeki. Wypuszczały wodę tylko wtedy, gdy złożono im w ofierze Dziecko Roku Tygrysa. Szukano takiego dziecka bez skutku, aż ktoś doniósł Chanowi: „Przy źródle rzeki mieszka stary Arschi, a z nim Dziecko Roku Tygrysa. Gdy poiliśmy bydło, widzieliśmy go.”

Chan natychmiast wysłał posłańców. Gdy dotarli do jaskini, Arschi wyszedł im naprzeciw.

— Czego szukacie? — zapytał.

— Chan wzywa Dziecko Roku Tygrysa, którego ponoć ukrywasz. Arschi odpowiedział:

— Kto wam to powiedział? Kto chciałby mieszkać ze starym Arschim?

Po czym wrócił do środka, ukrył chłopca w kamiennej skrzyni, przykrył ją i zatarł ślady, jakby chodziło o destylację araku.

Lecz posłańcy wyważyli drzwi i przeszukali jaskinię.

— Skoro go nie ma, zniszczymy wszystko! — krzyknęli i wyciągnęli miecze.

Chłopiec, nie chcąc, by skrzywdzili Arschiego, wyszedł z ukrycia.

— Nie krzywdźcie mojego ojca. To ja jestem tym, kogo szukacie.

Zabrali go do pałacu. Gdy tylko zobaczyła go córka Chana, zakochała się od pierwszego wejrzenia i objęła go ramionami. Ale dworzanie przypomnieli Chanowi:

— Dziś trzeba wrzucić Dziecko Roku Tygrysa do wody.
Chan rozkazał:
— Niech tak będzie.
Córka sprzeciwiła się:
— Jeśli jego wrzucicie do wody, wrzucicie i mnie!
Chan, rozwścieczony, krzyknął:
— Skoro córka nie dba o dobro królestwa, niech zostanie z nim związana i niech wrzucą ich razem!
I tak też się stało. Gdy byli już związani i wrzuceni do wody, chłopak zawołał:
— Mnie, jako Dziecko Roku Tygrysa, można poświęcić. Ale czemu ginie ta dobra dziewczyna?
Ona zaś powiedziała:
— Jestem tylko niegodna życia. Ale dlaczego ginie ten cudowny młodzieniec?
Krokodyle, słysząc te słowa, zlitowały się i wyniosły ich na brzeg. Strumienie znów zaczęły płynąć. Dziewczyna zaprosiła go do pałacu, lecz on odparł:
— Najpierw muszę wrócić do ojca Arschiego. Potem zamieszkamy razem jako mąż i żona.
Powrócił więc do jaskini i zapukał.
— To ja, twój syn — powiedział. Arschi odpowiedział:
— Mego syna porwali i zabili, więc siedzę tu i oplakuję go.
Lecz Narrani Garral zapewnił go, że przeżył.
— Krokodyle mnie nie pożarły. Wróciłem. Nie płacz już, ojczy!

Arschi otworzył drzwi — zarósł tak, że wyglądał jak nieboszyk. Narrani Garral obmył go mlekiem i wodą i przywrócił mu spokój.

W pałacu wszyscy byli zdumieni, widząc powrót córki Chana.

— Cud! Krokodyle ją ocaliły! — mówiono.

Chan jednak powątpiewał.

— A co z Dzieckiem Roku Tygrysa? Na pewno został po-
żarty.

Ale jego córka odpowiedziała:

— Nie. Ocalał dzięki swojej dobroci.

Na te słowa Chan wezwał młodzieńca do pałacu. Arschi i Narrani Garral przybyli razem. Chan wyszedł im naprzeciw i powitał ich z honorami.

— Czy jesteś synem Arschiego? — zapytał.

A Narrani Garral odpowiedział:

— Nie. Jestem synem Chana. Uciekłem przed śmiercią z rąk macochy, która chciała zabić mnie dla dobra swojego syna. Słyszac to, Chan obsypał go zaszczytami. Oddał swoje córki obu braciom za żony, dał im wspaniałe podarunki i orszak, i wysłał z powrotem do ich rodzinnej krainy. Gdy zbliżyli się do pałacu, wysłali list: „Dwaj synowie wracają do ojca, Chana.”

Ojciec i matka, którzy przez lata opłakiwali swoich synów, żyli w smutku i odosobnieniu. Gdy przeczytali list, natychmiast wysłali ludzi na ich powitanie. A macocha, gdy zobaczyła obu młodzieńców z darami i orszakiem, zzieleniała z zawiści i... umarła.

— I dobrze jej tak! — wykrzyknął Syn Chana.

— Władco Losu, prawdziwie rzekłeś! — odpowiedział Ssidi, po czym błyskawicznie uniósł się z worka w powietrze.

Tak oto Ssidi opowiedział piątą historię — o Narrani Garral i jego bracie.

WSPANIAŁY CZŁOWIEK, KTÓRY POKONAŁ CHANA

Kiedy Syn Chana, jak zwykle, pochwycił zmarłego i bez słowa wsadził Ssidi do worka, związał go mocno, zjadł ciastka maślane i ruszył w dalszą drogę, Ssidi — pytając jak zawsze, kto opowie historię — nie doczekał się odpowiedzi, lecz tylko skinienia głową. Wtedy zaczął opowieść:

Dawno, dawno temu, w kraju zwanym Barschiss, żył piewien dziki, pełen zuchwałości człowiek, który nie uznawał nad sobą nikogo. Chan tej krainy, rozwścieczony jego pychą, wygnał go z kraju. — Precz stąd, nicponiu! Znajdź sobie inne królestwo! — rzekł. Wędrując przez obce ziemie, mężczyzna dotarł w południe do lasu. Tam znalazł martwego konia. Odciął mu głowę, przywiązał do pasa i wspiął się na drzewo. O północy zaczęły zlatywać się Tszadkurrowie — złe duchy — dosiadające koni z kory drzew, z kapeluszami z tego samego tworzywa. Wkrótce potem pojawiły się kolejne demony, tym razem na koniach z papieru, w papierowych czapkach. Otoczyły drzewo, świętując i racząc się wyszukanymi trunksami.

Mężczyzna obserwował ich z niepokojem z wysokości, aż w końcu głowa konia spadła mu z pasa prosto między du-

chy. Przestraszyli się tak bardzo, że w panice uciekli, wrzeszcząc przeraźliwie. Gdy rankiem zszedł na ziemię, zdziwił się: „W nocy było tu tyle jedzenia i napitków, a teraz wszystko zniknęło.” Rozglądając się, znalazł flaszkę z arakiem. Gdy ją uniósł do ust, nie popłynął alkohol — zamiast tego wystrzeliły z niej mięsiwa, ciasta i inne smakołyki.

— To zaczarowana flaszka spełniająca życzenia! — zawołał z zachwytem i wziął ją ze sobą.

Wkrótce natknął się na człowieka z mieczem. Zapytał:

— Czemu trzymasz ten miecz? Tamten odparł:

— To Kreischwinger. Gdy powiem mu, że ktoś mi coś zabrał, rusza, zabija i przynosi mi to z powrotem. Mężczyzna zaoferował mu flaszkę w zamian za miecz. Gdy się wymienili, nowy właściciel miecza powiedział:

— Kreischwinger, przynieś mi moją flaszkę! Miecz poleciał, zabił poprzedniego pana i wrócił z magicznym naczyniem.

Wędrując dalej, spotkał człowieka z żelaznym młotem. Ten wyjaśnił:

— Jeśli uderzę ziemię dziewięć razy, wyrasta mur żelazny, wysoki na dziewięć filarów. Mężczyzna znów się wymienił, a następnie wezwał miecz, który odzyskał flaszkę i odebrał życie nowemu właścicielowi.

Potem spotkał człowieka niosącego worek z koziej skóry.

— Po co ci ten worek? — zapytał.

— To cudowna rzecz — gdy nim potrząsniesz, zaczyna padać. A im mocniej potrząsniesz, tym większa ulewa. Również i ten worek zdobył w zamian za flaszkę, a miecz zgodnie ze swym przeznaczeniem odzyskał ją ponownie.

Z wszystkimi tymi cudownymi przedmiotami w rękach, mężczyzna pomyślał: „Choć Chan mego kraju był okrutny, wrócę do ojczyzny.” Skrył się w pobliżu pałacu królewskiego

i gdy zapadła noc, uderzył młotem dziewięć razy. W tej samej chwili wyrósł mur żelazny, sięgający dziewięciu filarów w górę.

Rano Chan przebudził się, słysząc nocą tajemnicze odgłosy. Jego żona spojrzała przez okno i zauważyła:

— Za pałacem stoi żelazna ściana, wysoka na dziewięć filarów!

Rozgniewany Chan krzyknął:

— To na pewno ten dziki człowiek ją wznosił! Zobaczmy, kto okaże się silniejszy — on czy ja!

Rozkazał zebrać ludzi, przynieść drewno i miechy, i rozgrzać mur do czerwoności.

Wewnątrz muru przebywał cudowny człowiek z matką. On siedział na najwyższym filarze, ona na ósmym. Gdy ogień zaczął ich dosięgać, matka zawołała:

— Zginę! Płomienie zniszczą mur!

Syn odparł:

— Nie lękaj się, matko — znajdę na to sposób.

Wstrząsnął więc workiem z koziej skóry — lunął deszcz i ugasił ogień.

Potem potrząsnął jeszcze mocniej — wokół nich powstało wielkie morze, które zabrało ze sobą całe paliwo i miechy. Tak oto cudowny człowiek pokonał Chana.

— Cóż za niesamowita historia! — wykrzyknął Syn Chana.

— Panie Losu, przemówiłeś słowami przeznaczenia! — rzekł Ssidi i uleciał z worka w powietrze.

Tak oto brzmiała szósta opowieść Ssidi — o Człowieku Cudownym, który zwyciężył Chana.

CZŁOWIEK—PTAK

Jak zawsze, Syn Chana wypowiedział groźne słowa, schwytął Ssidi i poniósł go ze sobą. Gdy Ssidi, zgodnie z wcześniejszym zwyczajem, zapytał, kto dziś opowie historię, Syn Chana tylko potrząsnął głową i milczał. Wówczas to Ssidi zaczął snuć swoją kolejną opowieść:

Dawno, dawno temu, w pięknym kraju żył pewien ojciec z trzema córkami. Każda z nich miała na zmianę pilnować cieląt. Pewnego dnia, gdy przyszła kolej najstarszej siostry, zasnęła podczas pilnowania i jedno z cieląt zniknęło. Obudziła się przerażona i ruszyła na poszukiwania, aż w końcu dotarła do wielkiego domu z czerwonymi drzwiami.

Weszła do środka i natrafiła kolejno na drzwi złote, srebrne i w końcu miedziane. Za tymi ostatnimi znalazła klatkę ozdobioną złotem i drogimi kamieniami, a w niej siedział biały ptak na żerdzi. Dziewczyna powiedziała:

— Zgubiłam cielę i szukam go teraz.

Ptak odrzekł:

— Jeżeli zostaniesz moją żoną, odnajdę dla ciebie to cielę. Inaczej nie.

Dziewczyna jednak odmówiła:

— To niemożliwe. Ludzie uważają ptaki za dzikie stworzenia, nie mogą być żoną ptaka, nawet jeśli przez to nigdy już nie odzyskam cielęcia. Po tych słowach wróciła do domu.

Następnego dnia sytuacja powtórzyła się z drugą siostrą — również zgubiła cielę, dotarła do domu ptaka i również odmówiła mu ręki. W końcu przyszła kolej najmłodszej siostry. Kiedy zorientowała się, że jedno z cieląt zaginęło, także powędrowała śladami siostr, aż trafiła do tajemniczego domu. Gdy biały ptak zaproponował jej małżeństwo w zamian za pomoc, dziewczyna zgodziła się:

— Niech się stanie wedle twojej woli. I została żoną ptaka.

Po pewnym czasie w pobliskiej pagodzie odbyła się wielka, trzynastodniowa uczta. Zjechały się na nią tłumy gości, a wśród nich także żona ptaka. Była najpiękniejszą i najbar dziej podziwianą spośród wszystkich kobiet. Wśród mężczyzn szczególną uwagę przykuwał jeździec na białym koniu, który trzykrotnie objeżdżał zebranych. Każdy, kto go widział, szeptał:

— To on jest najważniejszy.

Po powrocie do domu ptak zapytał swoją żonę:

— Kto był najznakomitszy wśród zgromadzonych?

Kobieta odpowiedziała:

— Najznamienitszym z mężczyzn był jeździec na białym koniu, ale nie wiedziałam, kim jest. Wśród kobiet zaś — ja sama.

Tak działo się przez jedenaście dni. Jednak dwunastego dnia, siedząc na uczcie obok starej kobiety, żona ptaka znów wyznała:

— Ten jeździec na białym koniu to mężczyzna, którego chciałabym poślubić. Mój mąż, jako ptak, zalicza się przecież do dzikich stworzeń. Staruszka odparła:

— Nie mów tak. Wśród kobiet jesteś pierwsza, ale ten jeździec to twój własny mąż. Jutro, ostatniego dnia uczty, nie idź na nią. Zostań w domu, ukryj się za drzwiami i obserwuj, jak twój mąż otwiera swoją ptasią klatkę, bierze konia ze stajni i rusza na ucztę. Gdy tylko zniknie, weź tę klatkę i spal ją. Wtedy twój mąż pozostanie na zawsze w swojej ludzkiej postaci. Kobieta uczyniła dokładnie tak, jak jej poradzono. Gdy mąż odjechał, spaliła jego ptasią klatkę w palenisku. Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, ptak wrócił do domu i zapytał:

— Już wróciłaś?

— Już — odpowiedziała żona.

— A gdzie moja klatka?

— Spaliłam ją — rzekła.

— Barama! — zawołał z rozpaczą — to była moja dusza!

Zmartwiona kobieta zapytała:

— Co teraz poczyć?

Ptak odparł:

— Teraz już nic nie da się zrobić, chyba że usiądziesz za drzwiami i będziesz bez przerwy pobrzękiwać mieczem — dniem i nocą. Jeśli choć na chwilę przestaniesz, Tszadkurrowie i Tângâri mnie porwą. Musisz wytrwać siedem dni i siedem nocy. Żona, zdeterminowana, wzięła miecz i podparła sobie powieki patyczkami, by nie zasnąć. Przez sześć nocy czuwała bez przerwy. Niestety, siódmej nocy jej powieki zamknęły się na krótką chwilę, a w tym momencie złe duchy porwały jej męża.

Zrozpaczona, płakała i nie przyjmowała żadnego pożywienia. Biegała po świecie, wołając wciąż:

— Biada! Mój ptasi mąż! Biada mi! Szukała go dniem i nocą. Wreszcie usłyszała znajomy głos dochodzący z góry. Wspięła się na szczyt, a potem podążyła za głosem aż nad

rzekę. Tam znalazła męża, dźwigającego stertę zniszczonych butów.

— Serce mi rośnie, że cię znów widzę — powiedział.

— Tszadkurrowie i Tângâri zmusili mnie do noszenia wody, aż wszystkie te buty się rozpadły. Jeśli chcesz mnie odzyskać, zbuduj nową klatkę i poświęć ją mojej duszy. Wtedy wrócę. Po tych słowach zniknął. Kobieta wróciła do domu, zbudowała nową klatkę i poświęciła ją duszy męża. W końcu ptasi mąż powrócił, tym razem siadając na dachu ich domu.

— Prawdziwie, była to doskonała żona! — zawołał Syn Chana.

— Władco Przeznaczenia, rzekłeś słowa prawdy! Ssarwala missdood jakzang! — rzekł Ssidi i z trzaskiem uleciał z worka.

Tak oto brzmiała siódma opowieść Ssidi — o Człowieku—Ptaku.

MALARZ I RZEŹBIARZ

Pewnego razu, jak to zwykle bywało, Syn Chana wypowiedział swoje groźne słowa, wsadził zmarłego do worka i wyruszył z nim w drogę. Wtedy Ssidi, jak za każdym razem, przemówił:

— Dzień długi, droga daleka — albo ty opowiesz mi historię, albo ja to zrobię.

Syn Chana jednak tylko pokręcił głową w milczeniu. Wówczas Ssidi zaczął opowieść:

Dawno, dawno temu, w krainie zwanej Gujassmun, panował Chan imieniem Gunisschang. Po jego śmierci władcą został jego syn, Chamuk Sakiktschi. W tym samym kraju żyli dwaj mężczyźni — malarz Gunga i rzeźbiarz Cunga — noszący podobne imiona, lecz darzący się głęboką niechęcią.

Pewnego dnia malarz postanowił wykorzystać swoją przebiegłość. Udał się do młodego Chana i powiedział:

— Twój ojciec przebywa teraz w królestwie Tângâri i wezwał mnie do siebie. Spotkałem go tam otoczonego bogactwem i chwałą, a oto list od niego dla ciebie. W rzeczywistości był to list sfalszowany przez samego malarza. Napisano w nim: „Mój synu Chamuku, w królestwie Tângâri panuje dostatek wszystkiego, ale brakuje tam rzeźbiarzy. Chciałbym

wznieść pagodę, dlatego proszę, przyslij mi Cunge, rzeźbiarza. Malarz zna sposób, jak tego dokonać.”

Po przeczytaniu listu Chan powiedział:

— Jeśli mój ojciec naprawdę tam trafił, to wspaniała wiadomość! Przyprowadźcie rzeźbiarza! Gdy Cunga stanął przed Chanem, ten wręczył mu fałszywy list i przekazał prośbę „ojca”. Rzeźbiarz od razu domyślił się podstępu i pomyślał, że Gunga chce się go pozbyć, ale postanowił się odegrać.

Zapytał więc malarza:

— Jak mam się dostać do królestwa Tângâri?

Gunga odpowiedział bez wahania:

— Przygotuj swoje narzędzia, usiądź na stosie drewna, zaśpiewaj pieśni radości i podpal stos. Tak dotrzesz do Tângâri. Umówili się, że rzeźbiarz wyruszy w swoją podróż za siedem dni.

Cunga wrócił do domu i opowiedział żonie o zdradzie. Potajemnie wykopał podziemny tunel ze swojego domu na środek pola. W miejscu wyjścia położył duży kamień i przysypał go ziemią. Gdy nadszedł siódmy wieczór, ludzie zgodnie z rozkazem Chana przynieśli tłuszcz z bestii zwanej Gunga, by podsycić ogień. Cunga zaś, śpiewając pieśni, wślizgnął się do tunelu i niepostrzeżenie wrócił do domu.

Malarz w tym czasie z zadowoleniem wskazał na niebo, mówiąc:

— Tam leci rzeźbiarz ku Tângâri! Ludzie, widząc płonący stos i brak ciała, uwierzyli, że Cunga został zabrany do nieba. Rzeźbiarz przez miesiąc nie wychodził z domu, przemyczał głowę mlekiem i chronił się w cieniu, aż w końcu ubrał się w białe jedwabie i napisał list, który brzmiał: „Mój synu, w królestwie panuje pokój — i to jest dobre. Rzeźbiarz zakończył dzieło w pagodzie; należy mu się więc nagroda. Te-

raz potrzeba nam malarza, aby ozdobił świątynię — przypro-
wadź go do mnie.

Cunga wrócił do pałacu Chana i wręczył mu list. Zdumio-
ny Chan zapytał:

— Czy to naprawdę ty? Powróciłeś z królestwa Tângâri?

Rzeźbiarz potwierdził, a Chan, uradowany, obsypał go
bogactwami. Następnie wezwał malarza i pokazał mu list:

— Teraz twoja kolej. Gdy nadszedł siódmy wieczór, znów
rozpalono stos z tłuszczem, a malarz zasiadł na nim z przy-
borami, pieśniami i darem dla Gunisschanga. Śpiewał pieśni
radości, lecz gdy ogień rozszalał się zbyt mocno, zaczął krzy-
czeć z bólu. Tłum jednak nie usłyszał jego wołań przez
dźwięki instrumentów. Wkrótce ogień pochłonął malarza
całkowicie.

— Należało mu się! — wykrzyknął Syn Chana.

— Władco Przeznaczenia, prawdę rzekłeś! Ssarwala miss-
dood jakzang! — powiedział Ssidi i wyskoczył z worka,
wznosząc się w powietrze.

Tak oto brzmi ósma opowieść Ssidi'ego — o Malarzu i
Rzeźbiarzu.

KRADZIEŻ SERCA

Jak dawniej, Syn Chana niósł Ssidi'ego w worku, milczący i niechętny do rozmów. Ssidi jednak nie dawał za wygraną i znów się odezwał:

— Dawno, dawno temu panował nad pewnym królestwem Chan o imieniu Guguluktschi. Po jego śmierci władza przeszła na jego syna — człowieka cieszącego się wielkim szacunkiem i znanego z mądrości.

Nieopodal pałacu, w odległości jednego berrena, mieszkał człowiek, który miał córkę — dziewczynę niezwyklej urody i jeszcze większego rozumu. Syn Chana zakochał się w niej bez pamięci i odwiedzał ją każdego dnia. Lecz miłość ta nie trwała długo — młodzieniec ciężko zachorował i zmarł, a dziewczyna nie wiedziała o jego śmierci.

Pewnej nocy, gdy wschodził księżyc, ktoś zapukał do drzwi. Gdy otworzyła, zobaczyła ukochanego i ucieszona wpuściła go do środka. Podała mu arak i ciasta, jak zwykle, a on rzekł:

— Żono, chodź ze mną!

Wyszli razem i szli długo, aż dotarli do pałacu Chana, z którego dobiegały dźwięki cymbałów i bębnow.

— Chanie, co to za muzyka? — spytała.

— Czyż nie wiesz? Właśnie odbywa się uczta żałobna — to moja własna ceremonia pogrzebowa. Dziewczyna zamariła.

— Uroczystość pogrzebowa? Co się stało z synem Chana? — zapytała zdumiona.

— Już go nie ma. Ale urodzisz mi syna. Kiedy nadejdzie czas, udaj się do stajni słoni i tam wydaj go na świat. W pałacu wybuchnie spór pomiędzy moją matką a jej służbą o cudowny kamień królestwa. Ten kamień leży pod stołem ofiarnym. Gdy go odnajdą, ty i moja matka rządźcie królestwem, aż nasz syn dorośnie. Po tych słowach rozpląnął się w powietrzu, a dziewczyna padła zemdlona z rozpaczy.

Kiedy odzyskała przytomność, zawołała z żalem:

— Chanie! Chanie! Czując, że zbliża się poród, poszła do stajni słoni, gdzie urodziła chłopca.

Nazajutrz do stajni zajrzał słoniowy opiekun i zaniemógł z wrażenia:

— Kobieta urodziła dziecko w stajni słoni?! Nigdy coś takiego się nie wydarzyło. To może zaszkodzić zwierzętom!

Dziewczyna odpowiedziała spokojnie:

— Idź do matki Chana i powiedz jej: „Wstań! Wydarzyło się coś niezwykłego.”

Kiedy matka Chana usłyszała te słowa, natychmiast poszła do stajni, gdzie dziewczyna opowiedziała jej wszystko, co się wydarzyło.

— To cud! — rzekła kobieta. — Inaczej Chan nie pozostałby żadnego potomka. Chodź, zabieram cię do pałacu.

Zabrała ją ze sobą i otoczyła opieką. Kiedy potwierdziło się, że cudowny kamień rzeczywiście znajduje się pod stołem ofiarnym, uwierzono także w całą resztę opowieści. Od tej pory matka Chana i jego ukochana rządziły królestwem.

Od tej pory, co pełnię, zmarły Chan przychodził do swojej żony — spędzał z nią noc, po czym znikał o świcie. Dziewczyna opowiedziała o tym swojej teściowej, ale ta nie chciała wierzyć:

— To tylko bajka! Gdyby to była prawda, mój syn ukazałby się także mnie. Jeśli mam ci uwierzyć, spraw, by matka i syn się spotkali.

Podczas jednej z tych magicznych nocy żona powiedziała Chanowi:

— Cieszę się, że odwiedzasz mnie co pełnię, ale jeszcze lepiej byłoby, gdybyś przychodził co noc. Łzy popłynęły jej po policzkach.

— Gdybyś miała dość odwagi, mogłabyś uczynić coś, co sprawiłoby, że przychodziłbym każdej nocy. Ale jesteś młoda — nie dasz rady.

— Jeśli tylko to cię sprowadzi, zrobię wszystko, choćby miało mnie to kosztować życie.

Wtedy Chan wyjaśnił:

— Tej nocy, gdy znów będzie pełnia, idź jeden berren stąd do starego żelaznego człowieka i daj mu arak. Potem dojdiesz do dwóch baranów — podaruj im placki batschimak. Dalej spotkasz grupę zbrojnych — podziel się z nimi mięsem i ciastem. Idź dalej, aż zobaczysz wielką czarną budowlę, zabarwioną krwią. Nad nią, zamiast flagi, powiewa ludzka skóra. Przy wejściu stoją dwa aerliki — demony — złóż im ofiarę z krwi. Wewnątrz znajdziesz dziewięciu przerażających egzorcystów i dziewięć serc na tronie. Osiem z nich będzie wołać: „Weź mnie!”, ale dziewiąte, świeże serce krzyknie: „Nie bierz mnie!” — właśnie to masz wziąć i, nie oglądając się za siebie, wrócić do domu.

Choć dziewczyna była przerażona, zrobiła, jak kazał. W czasie pełni podzieliła dary i weszła do krwawego domu.

Świeże serce błagało: „Nie bierz mnie!”, ale chwyciła je i rzucała się do ucieczki. Egzorcyści popędzili za nią, wołając: „Złodziejko serca!” Aerliki krzyczały: „Daliśmy jej ofiarę — przepuście!” Zbrojni również chcieli ją zatrzymać, ale barany powiedziały: „Dostałyśmy placki.” W końcu wołano do starego żelaznego człowieka: „Zatrzymaj złodziejkę serca!” Ale on odpowiedział: „Dała mi arak — nie zatrzymam jej.”

Dziewczyna dotarła bezpiecznie do domu. W środku czekał już na nią Syn Chana, odziany w świąteczne szaty. Podszedł do niej i objął ją z miłością.

— Naprawdę wspaniała była ta dziewczyna! — zawołał Syn Chana, słuchając opowieści.

— Władco Przeznaczenia, prawdę rzekłeś! Ssarwała missdood jakzang! — odparł Ssidi, po czym z hukiem wyskoczył z worka i wzleciał w powietrze.

Tak kończy się dziewiąta opowieść Ssidi’ego — o Kradzieży Serca.

MĘŻCZYŻNA I JEGO ŻONA

Gdy Ssidi został ponownie schwytany i niesiony w worku, jak to już wcześniej bywało, zapytał — zgodnie ze swoim zwyczajem — czy może opowiedzieć kolejną historię. Syn Chana jednak tylko pokręcił głową i milczał. Wtedy Ssidi rozpoczął swoją opowieść:

Dawno, dawno temu w królestwie Olmilsong żyło dwóch braci. Obaj byli żonaci, ale różnili się od siebie zupełnie. Starszy brat był skąpy i zawistny, natomiast młodszy był szczery, dobrotliwy i hojny.

Pewnego dnia starszy, który przez lata zgromadził spory majątek, urządził wielką ucztę i zaprosił na nią wielu gości. Młodszy brat, choć dotąd nie był przez niego dobrze traktowany, pomyślał: „Skoro zaprasza tak wielu ludzi, to pewnie mnie i moją żonę też.” Czekał z nadzieją — lecz zaproszenia nie otrzymał. Miał jeszcze nadzieję, że może nazajutrz zostanie zaproszony przynajmniej na poranne picie araku, lecz i to nie nastąpiło. Był bardzo zasmucony i pomyślał: „Dziś w nocy, kiedy bratowa będzie pijana, zakradnę się do ich domu i coś ukradnę — choćby dla sprawiedliwości.”

Zakradł się więc do skarbca brata, ale kiedy już miał działać, zauważył, że żona brata wstała z posłania i udała się do

kuchni. Tam przygotowała mięso i słodkie potrawy, po czym wyszła z nimi z domu. Zaintrygowany, postanowił zamiast kraść, śledzić ją i dowiedzieć się, dokąd zmierza.

Szedł za nią aż na górę, gdzie składano ciała zmarłych. Na szczycie, na zielonym kopcu, stał bogato zdobiony grób. W tym grobie spoczywał niegdyś kochanek owej kobiety. Już z daleka zaczęła go wołać po imieniu, a gdy podeszła bliżej, rzuciła mu się na szyję i tuliła, jakby żył. Młodszy brat obserwował wszystko z ukrycia.

Potem kobieta podała zmarłemu przygotowane jedzenie. Ponieważ usta trupa były zaciśnięte, rozwarła je mosiężnymi szczypcami i próbowała włożyć mu do ust kawałki jedzenia. Nagle szczypce odbiły się od zębów, uderzając ją w nos i odcinając jego czubek. W tej samej chwili martwe zęby zatrzasnęły się i odgryzły jej kawałek języka. Kobieta, krwawiąc, zabrała talerz i wróciła do domu.

Młodszy brat poszedł za nią i znów ukrył się w skarbcu. Wkrótce kobieta położyła się obok męża, a ten zaczął się wiercić i poruszać. Wtedy kobieta jęknęła:

— Biada mi, biada! Cóż to za mężczyzna!

— Co się stało? — zapytał mąż.

— Odciskiem twoich zębów pozbawiłeś mnie kawałka języka i nosa! Co kobieta może począć bez tych dwóch rzeczy? Jutro Chan się o tym dowie! — krzyczała, oskarżając go niesłusznie.

Na drugi dzień kobieta stawiała się przed Chanem i oznajmiła:

— Mój mąż potraktował mnie haniebnie! Jakiegolwiek otrzyma karę, ja sama dopilnuję, by ją poniósł.

Mąż zapierał się:

— Nic takiego nie zrobiłem! Nic o tym nie wiem!

Ale kobieta była przekonująca, a mąż nie potrafił udowodnić swojej niewinności. Chan, sądząc, że kobieta mówi prawdę, orzekł:

— Skoro dopuścił się tak haniebnego czynu, należy go spalić na stosie.

Kiedy młodszy brat dowiedział się, co spotkało jego starszego brata, poszedł do niego i opowiedział mu wszystko, co sam widział. Następnie udał się do Chana i rzekł:

— Aby poznać prawdziwego winowajcę, przywołaj zarówno kobietę, jak i jej męża. Ja rozwiążę tę zagadkę.

Gdy wszyscy stanęli przed Chanem, młodszy brat opowiedział o nocnej wyprawie kobiety do grobu jej zmarłego kochanka. Chan nie chciał uwierzyć, więc brat powiedział:

— W ustach zmarłego znajdziecie koniec jej języka, a w szczypcach z mosiądzu — zakrwawiony czubek jej nosa. Wyślijcie tam ludzi i sprawdźcie.

Wysłano więc posłańców, którzy potwierdzili każde jego słowo. Chan, widząc, że wszystko się zgadza, rzekł:

— Skoro tak się rzeczy mają, to nie mąż, lecz kobieta winna być ukarana. Niech stanie na stosie i zostanie spalona.

I tak się stało — kobieta została ukarana ogniem.

— Dobrze jej tak! — powiedział Syn Chana po wysłuchaniu opowieści.

— Władco Przeznaczenia, prawdę rzekłeś! Ssarwała missdood jakzang! — odparł Ssidi, po czym z hukiem wy dostał się z worka i uniósł w powietrze.

Tak oto kończy się dziesiąta opowieść Ssidi'ego — o mężczyźnie i jego żonie.

DZIEWICA SSUWARANDARI

Kiedy Syn Chana niósł Ssidi, jak to miało miejsce wcześniej, Ssidi opowiedział następującą historię:

— Dawno temu, w samym sercu pewnego królestwa, stała stara pagoda, w której znajdował się wizerunek Choschim Bodissadoh (mongolskiego bożka), uformowany z gliny. Niedaleko tej pagody stał mały dom, w którym mieszkała piękna dziewczyna wraz ze swoimi starzejącymi się rodzicami. Na brzegu rzeki, która przepływała obok, mieszkał biedny człowiek, który utrzymywał się ze sprzedaży owoców, które przewoził w skrzyni na rzece. Pewnego dnia, gdy wracał do domu, zapadł zmrok w okolicach pagody. Zatrzymał się przy drzwiach domu, w którym mieszkały starsze osoby, i usłyszał, jak starsza kobieta mówi do swojego męża:

— Jesteśmy już bardzo starzy, gdybyśmy tylko mogli teraz zapewnić przyszłość naszej córce, byłoby dobrze. Na to odpowiedział mąż:

— To, że żyjemy razem szczęśliwie przez tyle lat, zawdzięczamy talizmanowi naszej córki. Złożmy jednak ofiarę Bodissadohowi i zapytajmy go, do jakiego życia powinna być poświęcona nasza córka — duchowego czy doczesnego. Jutro, o świcie, złożymy naszą ofiarę przed Burchanem. „Te-

raz wiem, co robić” — pomyślał słuchacz, więc w nocy udał się do pagody, zrobił otwór w tylnej części posągu i ukrył się w środku. Kiedy następnego ranka staruszkowie z córką przybyli, aby złożyć ofiarę, ojciec pochylił się do ziemi i powiedział:

— Zbawiony Bodissadoh! Czy ta dziewczyna powinna być poświęcona życiu duchowemu, czy doczesnemu? Jeśli ma prowadzić życie doczesne, wskaż nam teraz lub w przyszłości, w śnie lub wizji, komu ją dać za żonę. Wówczas ukryty w posągu człowiek krzyknął:

— Lepiej, żeby twoja córka poświęciła się życiu doczesnemu. Dlatego daj ją za żonę pierwszemu mężczyźnie, który rano zapuka do twoich drzwi. Starsze osoby bardzo się ucieszyły, gdy usłyszały te słowa, i kilkakrotnie pochyliły się do ziemi, a następnie obeszkły posąg.

Następnego dnia rano mężczyzna wyszedł z posągu i zapukał do drzwi staruszków. Kobieta wyszła na zewnątrz, a gdy zobaczyła mężczyznę, wróciła do środka i powiedziała do męża:

— Słowa Burchana zostały spełnione; mężczyzna przyszedł.

— Wpuść go! — odpowiedział mąż. Mężczyzna wszedł do środka i został ugoszczony jedzeniem i piciem, a kiedy opowiedzieli mu o wszystkim, co mówił posąg, zabrał córkę z talizmanem za żonę.

Kiedy szedł w stronę swojego domu, pomyślał: „Podstępnie zdobyłem córkę tych dwojga staruszków. Teraz włożę ją do skrzyni i ukryję ją w piasku.” Zatem schował skrzynię i udał się do ludzi, mówiąc: „Chociaż zawsze postępowałem właściwie, nigdy nie przyniosło mi to korzyści. Teraz jednak postaram się zdobyć hojniejsze dary przez moje modlitwy.” Tak mówił, a po powtórzeniu modlitw Zoka (część rytuału

Calmuców) otrzymał jedzenie i dary, mówiąc: „Jutro znowu wędrować będę, powtórzę modlitwy Zoka i znów poszukam jedzenia.”

W tym czasie Syn Chana wraz z dwoma towarzyszami, niosąc łuki i strzały, podążał za tygrysem. Przechodząc nieopodal, dotarli do piaskowego wzgórza, na którym ukryta była skrzynia z dziewczyną.

— Strzelajmy do tego wzgórza! — zawołali.

Wypuścili strzały, które utkwily w piasku. Gdy szukali strzał, znaleźli skrzynię, otworzyli ją i wyciągnęli dziewczynę z talizmanem.

— Kim jesteś, dziewczyno? — zapytali.

— Jestem córką Lu — odpowiedziała.

Syn Chana powiedział:

— Chodź ze mną, będziesz moją żoną.

A dziewczyna odpowiedziała:

— Nie pójdę, dopóki ktoś inny nie zostanie włożony do skrzyni zamiast mnie.

— Włóżmy tygrysa — postanowili wszyscy.

I tak zrobili — kiedy tygrys został umieszczony w skrzyni, Syn Chana zabrał dziewczynę i talizman ze sobą.

W międzyczasie biedak zakończył swoje modlitwy i pomyślał: „Jeśli zabiorę talizman, zabiję dziewczynę i sprzedam talizman, z pewnością stanę się bogaty.” Z takim zamiarem poszedł w stronę piaskowego wzgórza, wyciągnął skrzynię, zabrał ją do domu i powiedział do swojej żony, którą myślał, że znajdzie w środku: „Spędzę tę noc na powtarzaniu modlitw Zoka.” Zdjął wierzchnie ubranie, a kiedy otworzył wieko skrzyni, powiedział: — Dziewczyno, nie bój się! Gdy mówił te słowa, zobaczył tygrysa.

Następnego dnia w izbie znaleziono tygrysa z zakrwawionymi kłami i pazurami, a obok niego — rozszarpane ciało biedaka.

Żona Chana urodziła trzech synów i żyła w dostatku. Jednak ministrowie i ludzie zaczęli szemrać, mówiąc:

— Nie przystało Chanowi, że wywiódł swoją żonę z ziemi. Choć urodziła mu synów, wciąż pozostaje niskiego rodu.

Tak mówili, a żona Chana nie czuła z tego żadnej radości.

— Urodziłam trzech synów — mówiła — a i tak nikt mnie nie szanuje; wróć więc do moich rodziców. Opuszczając pałac w noc pełni księżyca, dotarła do okolic swojego domu w południe. W miejscu, gdzie wcześniej nic nie było widać, zobaczyła tłum robotników, a wśród nich mężczyznę, który nadzorował ich pracę i przygotowywał jedzenie.

— Kim jesteś, dziewczyno? — zapytał mężczyzna.

— Przybywam z daleka — odpowiedziała żona Chana — ale moi rodzice kiedyś mieszkali na tej górze, przyszedłem tu ich szukać.

Na te słowa młodzieniec rzekł:

— Więc jesteś ich córką?

A ona odpowiedziała:

— Jestem ich córką.

— Jestem ich synem — odpowiedział. — Mówią mi, że miałem starszą siostrę. Czy to ty? Siądź, weź jedzenie i na-pój, a potem razem pójdziemy do naszych rodziców.

Kiedy żona Chana dotarła na szczyt góry, odkryła, że w miejscu, gdzie wcześniej stała stara pagoda, wznoszą się teraz wspaniałe budowle ze złotymi wieżami pełnymi dzwonów. Domek jej rodziców został przemieniony w okazały pałac.

— To wszystko należy do nas — powiedział jej brat — od kiedy odeszłaś. Nasi rodzice żyli tu w zdrowiu i spokoju.

W pałacu znajdowały się konie, muły i kosztowny sprzęt. Ojciec i matka siedzieli na bogatych jedwabnych poduszkach i przyjęli córkę, mówiąc:

— Wciąż jesteś zdrowa i szczęśliwa. To bardzo dobrze, że wróciłaś do nas przed naszym odejściem.

Po licznych pytaniach, jakie padły z obu stron, starzy rodzice rzekli:

— Powinniśmy wszystko wyjawić Chanowi i jego ministrom.

Chan oraz jego doradcy zostali obdarzeni podarkami, a trzy dni później podjęci najlepszym jadłem i napitkiem. Mimo to Chan powiedział:

— Kłamiecie. Żona Chana nie miała rodziców.

Chan odszedł wraz ze swoją świtą, a jego żona rzekła:

— Zatrzymam się jeszcze jedną noc u moich rodziców, a jutro wrócę do ciebie.

Następnego ranka, gdy się obudziła, ujrzała twarde łoże, bez poduszek ani kołdry.

— Co to ma znaczyć? — zawołała. — Czyż nie spałam tej nocy u ojca i matki, na jedwabnym łożu?

Wstała i rozejrzała się — wokół niej stała zrujnowana chata. Jej rodzice nie żyli, a ich kości się rozpadały. Ich czaszki spoczywały na kamieniach. Głośno zapłakała i powiedziała do siebie:

— Teraz zajmę się pagodą.

Jednak pagoda była w ruinie, a Burchan (święty posąg) — opuszczony.

— To boska opatrność — rzekła — sprawiła, że moi rodzice na chwilę powrócili do życia. Teraz, gdy Chan i jego ministrowie zostali uspokojeni, mogę wrócić do domu.

Po powrocie do królestwa swego męża, ministrowie i lud wyszli jej na powitanie i otoczyli ją z radością.

— Żona Chana — wołali — pochodzi ze szlachtetnej rodziny, urodziła szlachtetnych synów, sama zaś jest mile widziana, pełna wdzięku i dobroci.

Tak ją witali, a ona została uroczyście odprowadzona do pałacu.

— Jej zasługi musiały być wielkie — tak powiedział Syn Chana.

— Władco Przeznaczenia, wypowiedziałeś słowa! Ssarwala missdood jakzang! — tak powiedział Ssidi i wyrwał się z worka w powietrze.

Tak kończy się jedenasta opowieść Ssidi o Dziewczynie Ssuwarandari.

DWA KOTY

opowieść arabska

W dawnych czasach żyła pewna staruszka, mieszkająca w chatce węższej niż umysły ludzi nieoświeconych i ciemniejszej niż grobowce chciwców. Towarzyszył jej kot, którego wyobraźnia nigdy nie zdołała przywołać obrazu chleba — nie słyszał o nim ani od przyjaciół, ani od obcych.

Wystarczało, że od czasu do czasu poczuł zapach myszy lub dostrzegł ślady jej łap na podłodze. A gdy szczęśliwie jakaś mysz wpadła w jego pazury, „stawał się jak żebrak, który odkrywa starożytny skarb”. Policzki zwierzęcia rumieniły się z radości, a smutek minionych dni rozmywał się w szczęściu chwili.

Uczta potrafiła trwać tydzień, a nawet dłużej. W jej trakcie kotka często wołała:

— Czy to sen, o Boże, czy jawą to jest? Czyż po tylu cierpieniach mam zaznać takiej pomyślności?

Lecz choć staruszka dawała z siebie wszystko, jej dom był dla kota raczej rezydencją głodu. Kotka często narzekała i snuła fantastyczne plany o lepszym życiu.

Pewnego dnia, skrajnie osłabiona, z wielkim trudem wspięła się na szczyt komina. Stamtąd dostrzegła kota na

ścianie sąsiedniego domu. Kot ten czał się niczym dziki tygrys — jego ruchy były miarowe, pełne gracji, a ciało tak przepełnione tłuszczem, że ledwie podnosił łapy.

Kicia starej kobiety zamarła z wrażenia. Jeszcze nigdy nie widziała przedstawiciela własnego gatunku tak dobrze odkarmionego, tak dostojnego i zadbanego. Wybuchnęła okrzykiem:

— Twoje dostojne kroki doprowadziły cię tu nareszcie; powiedz mi, skąd przychodzisz? Skąd przybywasz z takim pięknym wyglądem? Wyglądasz, jakbyś pochodził z uczty Chana Khatai. Skąd zdobyłaś tę urodę? Jak zdobyłaś tę wspaniałą siłę? Drugi kot odpowiedział:

— Jestem żebrakiem sultana. Każdego ranka, kiedy rozkładają stół, przychodzę do pałacu, pokazuję tam moje wdzięki i odwagę. Wybieram spośród bogatych potraw i pszennych placek kilka smakowitych kąsków, a potem się wycofuję i spędzam czas do następnego dnia w błogim lenistwie.

Kotka staruszki zapytała z zaciekawieniem:

— Czym są te bogate mięsa? Jak smakują pszenne placki?

A po chwili dodała smutnym tonem:

— Przez całe życie nie jadłam niczego prócz zupy staruszek i mięsa myszy...

Drugi kot uśmiechnął się drwiąco i odparł:

— To wyjaśnia, dlaczego trudno mi cię odróżnić od pająka. Twój wygląd i postawa są hańbą dla całego kociego rodu. Powinniśmy rumienić się na twój widok — ty, taka nędzna, wychudzona, żalosna. Masz co prawda uszy i ogon kota, ale poza tym... przypominasz raczej owada niż stworzenie naszego rodzaju.

— Gdybyś tylko ujrzała pałac sultana i poczuła zapach jego wybornych potraw — mówił dalej — twoje wyschnięte

kości ożyłyby, a w twoje ciało wróciłoby życie. Wyszłabyś z za zasłony niewidzialności i wkroczyła na scenę prawdziwego istnienia. Czy to dziwne, że kiedy zapach ukochanej przelatuje nad grobem kochanka, jego spróchniałe kości poruszają się z tęsknoty?

Wzruszona kotka staruszki przemówiła najbłagalnijszym głosem:

— O siostró moja! Czyż nie mam świętego prawa sąsiedztwa? Czy nie łączy nas pokrewieństwo dusz? Co powstrzymuje cię przed okazaniem przyjaźni i zabranie mnie ze sobą przy najbliższej wizycie w pałacu? Może dzięki twojej łasce i wsparciu spłynię na mnie obfitość, a z twojej protekcji osiągnę godność i zaszczyty. Nie odwracaj się od szlachetnych przyjaźni. Nie porzucaj tych, którzy potrzebują wyciągniętej ręki.

Serce kota sułtana, poruszone tymi słowami, zmiękło. Obiecał, że przy następnej wizycie zabierze ją ze sobą do pałacu.

Kotka staruszki, w uniesieniu radości, zbiegła z tarasu i natychmiast opowiedziała wszystko swojej pani. Staruszka, zasmucona, rzekła z troską:

— Nie daj się zwieść, najdroższa przyjaciółko, urokom tego świata, którego opowieści teraz słuchasz. Nie porzucaj swego kącika zadowolenia. Pamiętaj: kielich chciwych napełnić można jedynie pyłem grobu, a oko chciwości i nadziei zamknie dopiero igła śmierci i nić przeznaczenia. To zadowolenie czyni człowieka naprawdę bogatym.

I dodała jeszcze:

— Zapamiętajcie to wy, którzy przemierzacie świat w pogoni za zyskiem:

Ten, kto nie jest zadowolony z tego, co ma, nie zna swego Boga ani nie oddaje Mu czci.

Lecz oczekiwana uczta tak mocno zawładnęła wyobraźnią biednej kotki, że mądre słowa staruszki przepadły bez echa.

Bo, jak głosi przysłowie:

„Dobre rady całego świata są jak wiatr w klatce albo woda w sicie — nie zostają, gdy przekazuje się je głupcom.”

Następnego dnia głodna kotka, w towarzystwie swojego nowego towarzysza, udała się do pałacu sultana. Jednak zanim nieszczęsna przybłęda dotarła do celu, wydarzyło się to, co często spotyka chciwych — niespodziewane rozczarowanie, które zalało jej ambitne nadzieje zimnym strumieniem zawodu.

Otóż poprzedniego dnia cała armia kotów obległa ucztę królewską, wywołując taki tumult, że zakłóciła spokój gości. Rozgniewany sultan wydał rozkaz: tego dnia łucznicy z Tatarstanu mają czaić się w ukryciu i każdy kot, który odważy się wtargnąć na teren uczty i sięgnąć po choćby jeden kęs, zostanie przeszyty strzałą.

Kotka staruszki nic o tym nie wiedziała. Gdy tylko poczuła zapach potraw, rzuciła się naprzód jak orzeł spadający na zdobycz. Ledwie pierwszy kęs dotknął jej pyska, gdy przeszła ją zatruta strzała. Z rany trysnęła krew, a ból sparaliżował jej ciało.

W panice i przerażeniu rzuciła się do ucieczki, krzycząc po drodze:

— Jeśli tylko zdołam ujść z życiem przed tym przeklętym łucznikiem, przysięgam — wystarczy mi moja mysz i licha chatka mojej starej pani! Nie chcę miodu, jeśli niesie ze sobą żądło. Zadowolenie z prostego jedzenia jest lepsze niż luksus, który kończy się śmiercią.

LEGENDA O DHURRUMNATHCIE

legenda indyjska

Za panowania potężnego radży imieniem Guddeh Sing, do jego okolic przybył słynny kapłan, a dziś już uznawany za boskiego — Dhurrunnath. W duchu pełnym pokory, typowym dla swojej sekty, osiedlił się tymczasowo niedaleko rezydencji radży w Runn, w pobliżu Mandavie. Towarzyszył mu adoptowany syn, Ghurreeb Nath.

Z nowego miejsca Dhurrunnath wysyłał swojego syna, by ten zbierał datki od mieszkańców pobliskiego miasta. Ghurreeb Nath wielokrotnie próbował, lecz bez powodzenia. Nie chcąc, by ojciec dowiedział się o braku hojności wśród mieszkańców, za każdym razem kupował jedzenie z własnych, skromnych oszczędności. W końcu jednak jego fundusze się wyczerpały i szóstego dnia musiał przyznać się do wszystkiego.

Dhurrunnath bardzo się rozgniewał. Przeklął wszystkie miasta należące do radży, przepowiadając im ruinę i opuszczenie. Legenda głosi, że z czasem przepowiednia się spełniła — miasta popadły w ruinę, a Dhurrunnath wraz z synem opuścił tamte okolice i udał się do Denodur. Miejsce to wydało mu się odpowiednie, więc postanowił podjąć surową

pokutę — zwaną *tapasja*⁸ — która miała trwać dwanaście lat. Jego formą pokuty było stanie na głowie.

Rozpoczynając swoją duchową praktykę, Dhurrunnath odesłał syna, który osiedlił się w dżungli, około dwudziestu mil na północny zachód od Bhooj. Sam Dhurrunnath przez dwanaście lat nieprzerwanie trwał w postanowieniu surowej pokuty. Gdy minął ten czas, zstąpiły do niego anioły z niebios, błagając go, by zakończył swoją *tapasję*. Dhurrunnath odpowiedział, że spełni ich prośbę, lecz ostrzegł: miejsce, na które najpierw spojrzy, zostanie zniszczone — jeśli będą to wsie, znikną bez śladu; jeśli pola lub lasy — zamienią się w jałową pustynię.

Anioły nakazały mu więc spojrzeć w kierunku północno — wschodnim, gdzie rozciągało się morze. Dhurrunnath wrócił do normalnej pozycji i, zgodnie z poleceniem, otworzył oczy w stronę wskazaną przez niebiańskich posłańców. W tej samej chwili morze zniknęło, dumnie żeglujące statki zostały roztrzaskane, ich załogi zginęły, a po wszystkim pozostała tylko bezkresna, jałowa pustynia, znana dziś jako Runn.

Dhurrunnath, zbyt czysty, by pozostać na ziemi, natychmiast dostał chwałebnej nieśmiertelności — jego duch został wchłonięty przez wszechobecną, wieczną i niepodzielną boskość Bruma, stwórcy — początku i końca wszystkiego.

Ta dobrowolna pokuta Dhurrunnatha otoczyła wzgórze Denodur nimbem świętości. Z czasem miejsce to stało się

8 *Tapasja* (zapisywane też jako *tapasya*) to termin pochodzący z sanskrytu, oznaczający surową praktykę ascetyczną lub pokutę, mającą na celu duchowe oczyszczenie i osiągnięcie wyższego stanu świadomości. W tradycji hinduskiej i buddyjskiej odnosi się do intensywnych praktyk wyrzeczenia, takich jak długotrwałe medytacje, posty czy inne formy umartwiania ciała.

idealnym punktem dla osiedlenia się joginów. Prawdopodobnie to właśnie oni pierwotnie opiekowali się małą świątynią, która powstała na szczycie wzgórza — dokładnie tam, gdzie Dhurrunnath miał odprawiać swoją surową, mistyczną praktykę. Świątynia ta, choć skromna, przetrwała do dziś jako symbol duchowej siły i poświęcenia.

PRZYGODA PODRÓŻNIKA

opowieść arabska

Opowiada się historię o podróżniku, który wędrował przez pustkowia, dosiadając wielbłąda. W trakcie swej drogi natknął się na miejsce, gdzie wcześniej odpoczywali inni z jego karawany. Rozpalili tam ognisko, które po ich odejściu nie całkiem zgasło. Pod wpływem silnego wiatru żar z ognia ponownie ożył, iskry rozbłyły i roznieciły płomień w suchej dżungli. W mgnieniu oka cała równina zapłonęła niczym łąn czerwonych tulipanów.

W samym środku tej ognistej pułapki znajdował się ogromny wąż. Otoczony przez ogień, nie miał dokąd uciec i był o krok od tego, by zostać upieczonym jak ryba albo przypieczonym jak przepiórka. Krew sączyła się z jego ociekających jadem oczu. Widząc podróżnika, błagalnie zawołał:

— Jeśli masz w sercu choć trochę litości, okaż współczucie i pomóż mi wydostać się z tego piekła. Rozsupłaj węzeł mojej udręki.

Podróżnik był człowiekiem dobrym i bogobojnym. Poruszony losem węża, pomyślał: „Choć to stworzenie jest odwiecznym wrogiem człowieka, jego cierpienie nie może pozostać bez odpowiedzi. Jeśli okażę miłosierdzie, może spotka

mnie za to błogosławieństwo na tym i w przyszłym świecie.” Przymocował więc jeden z juków do końca włóczni i podał go wężowi. Ten, uradowany możliwością ratunku, wypełznął do środka i w ten sposób został ocalony od ognia.

Gdy ogień przygasł, mężczyzna otworzył torbę i rzekł do węża:

— Jesteś wolny, idź, dokąd chcesz. Ale nie zapomnij dziękować za ocalenie i od tej pory żyj w spokoju, nie wyrządzając krzywdy ludziom. Tylko tacy, którzy nikogo nie ranią, są uczciwi — tu i po śmierci.

Na to wąż odpowiedział beznamiętnie:

— Młodzieńcze, nie ciesz się zbyt prędko. Nie odejdę, póki nie ukąszę ciebie i twojego wielbłąda.

Zdumiony i przerażony człowiek zaprotestował:

— Jak to? Przecież ocaliłem ci życie! Jakim prawem chcesz mi się teraz odwdzięczyć krzywdą? Czyż nie okazałem ci serca i współczucia?

Wąż pozostał nieugięty:

— To prawda, byłeś miłosierny, ale wobec istoty, która na to nie zasługiwała. Jestem wrogiem człowieka, i dobrze o tym wiesz. Ratując mnie, naraziłeś się na zgubę. Postąpiłeś tak, jakbyś popełnił zło wobec kogoś niewinnego — zasługujesz więc na karę. Między wężem a człowiekiem od zawsze toczy się wojna. Mądrzy mówią: jeśli masz szansę zabić wroga, nie zwlekaj. Ty nie tylko nie zabiłeś, ale pozwoliłeś mi przeżyć. Teraz muszę cię ukąsić — nie z nienawiści, ale ku przestrodze dla innych.

Człowiek nie mógł pojąć tej logiki.

— W jakim to świecie — pytał — odpłaca się złem za dobro? W jakiej religii, w jakim kodeksie etycznym uzasadnia się takie postępowanie?

— W ludzkim świecie — odparł wąż. — Postępuję tak, jak wy sami. Za jedno dobro otrzymujesz w zamian lata krzywdy. Taką walutę dałeś mi ty — teraz ci ją oddaję.

Mimo błagań i prośb podróżnika, wąż uparcie trwał przy swoim. W końcu człowiek rzekł:

— Skoro tak, wezwijmy świadków. Jeśli potwierdzą twoje słowa, poddam się twojej woli.

Rozejrzeli się dookoła i dostrzegli krowę pasącą się nieopodal. Podeszli do niej, a wąż zapytał:

— Powiedz, o krowo, jaka jest ludzka zapłata za dobro?

Krowa westchnęła:

— Znam to aż za dobrze. Przez lata służyłam mojemu gospodarzowi — dawałam mleko, masło, rodziłam cielęta. On i jego dzieci żyli dzięki mnie. A gdy się zestarzałam i przestałam dawać mleko, wypędził mnie z gospodarstwa. W dzungli odzyskałam siły, znów nabrałam ciała, a wczoraj pojawił się z rzeźnikiem i sprzedał mnie na mięso. Dziś mam zostać zabita. Taka jest ludzka wdzięczność.

— Słyszałeś — rzekł wąż — czas na twoją śmierć.

Człowiek jednak nalegał:

— Jedna opinia to za mało. Wezwijmy jeszcze jednego świadka.

Spojrzeli wokół i dostrzegli uschnięte, łyse drzewo. Gdy podeszli, wąż zadał to samo pytanie. Drzewo odparło:

— Ludzie znają tylko jedną odpowiedź na dobro — ciosem w plecy. Kiedyś byłem bujny i zielony. Wędrowcy odpoczywali w moim cieniu, spali pod moimi gałęziami. Ale gdy tylko odzyskali siły, myśleli, co można ze mnie wyciąć: tu gałąź na łuk, tam konar na pług, pień na deski. I tak ci, którym służyłem, odpłacili mi jedynie bólem i zniszczeniem.

— Masz już dwóch świadków — powiedział wąż. — Czas na twoją śmierć.

Ale podróżnik odparł:

— Życie jest mi drogie. Daj mi jeszcze jedną szansę — wezwijmy trzeciego świadka. Potem podporządkuję się bez słowa.

Wtem z krzaków wyłonił się lis, który od początku przysłuchiwał się całej rozmowie. Wąż zawołał:

— O, lisie, ty rozstrzygnij nasz spór.

Zanim jednak zdążył zadać pytanie, lis sam przemówił:

— Czyż nie wiesz, że za dobro zawsze spotyka cię zło? Ale zastanów się — jakim dobrem obdarzył ten człowiek tego węża, że miałby za to cierpieć?

Podróżnik opowiedział całą historię. Lis pokręcił głową:

— Mówisz zbyt mądrze, by opowiadać bajki. Czy to możliwe, że taki olbrzym jak ty, wężu, zmieścił się w tej małej torbie?

Wąż, urażony niedowierzaniem, natychmiast zadeklarował:

— Jeśli chcesz, wejdę z powrotem do środka, by ci to udowodnić!

Podróżnik otworzył torbę, a wąż wślizgnął się do niej raz jeszcze. Wtedy lis zawołał:

— Teraz, człowieku, gdy wróg jest w twoich rękach, nie okazuj mu litości. Mądrość każe być bezwzględny wobec tych, którzy ci zagrażają!

Podróżnik nie wahał się ani chwili — zawiązał mocno torbę, uderzył nią o kamień i zabił węża. Tym samym ocalił nie tylko własne życie, ale i wielu innych przed podstępna naturą istoty, która nigdy nie знаła wdzięczności.

SIEDEM ETAPÓW PODRÓŻY RUSTEMA

opowieść perska

Persja cieszyła się pokojem i dobrobytem, jednak jej król, Ky—Kaos, nie potrafił zaznać spokoju. Pewnego dnia usłyszał od ulubionego śpiewaka opowieść o krainie Mazenderan⁹ — miejscu tak pięknym, że zdawało się być ogrodem samego raju. Śpiewak opowiadał o różach, które wiecznie kwitną, o słowikach, które nocą wyśpiewują najczystsze melodie, o soczystych łąkach i górach, których szczyty porastały drzewa i pachnące kwiaty. Woda w strumieniach była tak czysta, że szeptała pieśń spokoju, a ziemia pełna była urodzinych dziewcząt i dzielnych wojowników.

9 Mazanderan to legendarne, mityczne miejsce, które w perskiej tradycji i mitologii jest utożsamiane z krainą pełną cudów i nadprzyrodzonych istot. W tradycji perskiej Mazanderan jest miejscem pełnym bogactwa, cudownych krajobrazów i nieosiągalnego szczęścia, co w pieśni poety zostało wyrażone jako kraj, który nie zna upału ani zimna, pełen złota, kwiatów i wiecznej wiosny. To właśnie Mazanderan ma być przedstawiany jako rajska, nieziemska ziemia, której bogactwa nie mają końca, a dżinni to magiczni, nadprzyrodzeni mieszkańcy tego miejsca, którzy są powiązani z tym rajem. Zatem w tym kontekście kraina dżinnów to Mazanderan, gdzie żyją te potężne duchy, a cały region jest pełen bogactwa, przyrody i harmonii.

Król, urzeczony tym opisem, zupełnie stracił głowę. Oświadczył, że nie zazna szczęścia, dopóki jego potęga nie ogarnie tej błogosławionej przez naturę krainy. Mędracy i najwierniejsi doradcy próbowali go odwieść od tego pomysłu. Mazenderan miało nie tylko silnych obrońców, ale też zamieszkiwały je potężne demony, Dewy, których przywódcą był sławny Biały Demon — Dew—e—Seffeed. Każdy, kto próbował podbić ten kraj, ponosił klęskę.

Ky—Kaos był głuchy na ostrzeżenia. W akcie desperacji wysłano więc posłańców po starego Zâla — ojca Rustema i księcia Seestanu. Zâl przybył i próbował odwieść króla od jego zamiaru, lecz duma i pycha zaślepiły Ky—Kaos. Na zakończenie rozmowy wypowiedział słowa, które ostatecznie zniechęciły Zâla:

— Stwórca świata jest moim przyjacielem, a przywódca demonów moją zdobyczą.

Rozczarowany, Zâl odmówił nawet objęcia regencji podczas nieobecności króla, choć obiecał służyć radą.

Ky—Kaos wyruszył z armią, przekonany o swoim triumfie. Jednak władca Mazenderanu nie czekał bezczynnie — zwołał wojska i przywołał samego Dew—e—Seffeeda wraz z jego oddziałem demonów. W bitwie, która nastąpiła, Persowie zostali doszczętnie rozgromieni. Ky—Kaos trafił do niewoli i został uwięziony w potężnej twierdzy, strzeżonej przez setkę demonów dowodzonych przez Arjenga. Ich zadaniem było codziennie pytać króla, jak podobają mu się kwiaty, drzewa, śpiewy słowików, piękne kobiety i waleczni wojownicy Mazenderanu.

Wiadomość o klęsce szybko rozniosła się po kraju. Choć Zâl był zdegrustowany uporem władcy, to wieść o jego hańbie i cierpieniu głęboko go poruszyła. Wezwał więc swojego syna Rustema i rzekł:

— Synu, idź i z pomocą własnego ramienia oraz wiernego konia Reksha, ocal naszego króla.

Rustem bez wahania wyruszył. Do Mazenderanu prowadziły dwie drogi — wybrał tę krótszą, chociaż znaną z ogromnych trudności i niebezpieczeństw.

Już pierwszego dnia podróży, zmęczony, Rustem położył się spać, pozwalając Rekshowi paść się na pobliskiej łące. Tam koń został zaatakowany przez dzikiego lwa, ale odważnie stanął do walki. Jednym uderzeniem kopyta powalił drapieżnika, a następnie udusił go. Gdy Rustem się obudził i zobaczył martwego lwa, zamiast się cieszyć, wpadł w gniew. Skarcił konia za to, że sam stawiał czoła zagrożeniu, i zapytał z wyrzutem:

— Gdybyś zginął, jak ja miałbym wypełnić swoją misję?

Drugiego dnia niemal zginął z pragnienia, ale modlitwy do Boga zostały wysłuchane. Nagle pojawiła się sarna, jakby wysłana przez niebiosy, i zaprowadziła go do źródła. Po ugaszeniu pragnienia i posileniu się upolowanym dzikim osłem, Rustem znów zasnął. W nocy jednak z ukrycia wyłonił się olbrzymi wąż, długi na siedemdziesiąt metrów. Obudziło go rżenie Reksha, lecz gdy się rozejrzał, nie dostrzegł zagrożenia. Wąż skrył się z powrotem, a Rustem zbeształ konia za niepokojenie go bez powodu. Gdy sytuacja się powtórzyła, zagroził nawet Rekshowi śmiercią. Przy kolejnym ataku bestii wierny koń, w obawie przed gniewem pana, nie wydał dźwięku — zamiast tego sam rzucił się na potwora. Odgłosy walki obudziły Rustema. Dołączył do starcia, uniknął ciosu węża, a potem, gdy Reksh trzymał bestię, odciął jej głowę mieczem.

Patrząc na olbrzymie ciało pokonanego potwora, Rustem w duchu dziękował Bogu za cudowne ocalenie. Kolejnego dnia, odpoczywając przy źródle, ujrzał piękną kobietę, która

piła wino. Podeszedł do niej, przyjął jej zaproszenie i objął ją, jakby była istotą z nieba. W rozmowie wspomniał o wielkim Bogu, któremu oddaje cześć. W tej chwili twarz i ciało dziewczyny zaczęły się zmieniać — stała się czarna, ohydna i zdeformowana.

Zaskoczony Rustem natychmiast ją schwytał, związał i zażądał wyjaśnień.

— Jestem czarodziejką — przyznała — wysłaną przez złego ducha Aharmana, by cię zgubić. Oszczędź mnie, a będę ci służyć.

Lecz Rustem, wierny zasadom dobra, odpowiedział:

— Nie zawieram układów z diabłem ani jego sługami.

Po czym rozciął ją na pół mieczem.

I raz jeszcze, z sercem przepelnionym wdzięcznością, zwrócił się do Boga z modlitwą dziękczynną za swoje ocalenie.

Podczas czwartego etapu swojej podróży Rustem zgubił drogę. Błądząc w nieznanym terenie, dotarł do przejrzystego strumienia i, zmęczony, postanowił odpocząć. Wypuścił swojego konia, Reksha, na pobliskie pole zboża. Niebawem zjawiał się rolnik odpowiedzialny za ten teren i zbudził Rustema, przemawiając do niego z wyraźną arogancją. Ostrzegł bohatera, że poniesie karę za bezczelność, ponieważ pole należy do pewnego wojownika imieniem Oulâd.

Rustem, znany ze swego gwałtownego temperamentu, a szczególnie nieznoszący zakłócania mu snu, zerwał się i w napadzie gniewu oderwał ogrodnikowi uszy, a jednym ciosem pięści połamał mu nos i zęby.

— Zanieś te ślady mojego gniewu swemu panu — powiedział — i powiedz mu, że czeka go podobne powitanie.

Więści o tym zajściu szybko dotarły do Oulâda, który wpadł we wściekłość i natychmiast ruszył, by stawić czoła

nieznajomemu. Rustem, spodziewając się konfrontacji, założył zbroję i dosiadł Reksha. Gdy Oulâd zobaczył imponującą sylwetkę przeciwnika, ogarnął go strach. Zanim zdecydował się na walkę, wezwał swoich ludzi. Wszyscy razem rzucili się na Rustema, lecz spotkała ich sroga klęska — zostali rozgromieni niczym liście pędzone wichrem. Wielu poległo, inni uciekli, wśród nich sam Oulâd. Rustem dogonił go na kolejnym etapie podróży i schwycił, zarzucając na niego swój arkan.

Aby ocalić życie, Oulâd postanowił współpracować. Wyjawiał, gdzie przetrzymywany jest król Ky—Kaos, zdradził też siłę Dew—e—Seffeeda i obiecał pomóc w całej wyprawie. Rustem przyjął jego ofertę, a Oulâd okazał się bardzo cennym sojusznikiem.

Szóstego dnia dotarli w pobliże miasta Mazenderan, gdzie rezydował sam Biały Demon. Na ich drodze stanęło dwóch dowódców z licznym orszakiem. Jeden z nich ośmielił się podejść do Rustema i chwycić go za pas. Bohater wpadł w szal, choć nie zaszczycił napastnika walką — po prostu chwycił go za głowę, oderwał ją od ciała i cisnął w kierunku jego towarzyszy, którzy, przerażeni tym widokiem, natychmiast się rozpiechli.

Po tej demonstracji siły Rustem wraz z Oulâdem udał się do zamku, gdzie więziony był Ky—Kaos. Demony strzegące twierdzy spały, a króla znaleziono w ciemnej celi, przykutego do podłoża. Gdy zobaczył wybawcę, rozpłakał się ze wzruszenia i rzucił mu się w ramiona. Rustem od razu zabrał się do zrywania łańcuchów. Hałas obudził demony, a ich przywódca, Beedâr—Reng, ruszył na spotkanie intruza. Jednak widok Rustema i jego gniewne spojrzenie tak przerażyły demona, że natychmiast zgodził się wypuścić zarówno króla, jak i wszystkich jego towarzyszy, by ocalić własną skórę.

Po tej akcji Rustem przystąpił do największego i ostatniego wyzwania — walki z samym Dew—e—Seffeedem. Oulâd zdradził mu, że demony czuwają i uczują nocą, a śpią w upale dnia, gdyż nienawidzą promieni słońca. Gdy bohater zbliżył się do ich obozu, zobaczył rozciągniętą armię. Postanowił odpocząć przed atakiem. Wczesnym rankiem, pełen sił, ruszył do boju. Już pierwsze ciosy jego maczugi rozbuździły śpiących strażników. W panice zbiegli się, próbując go zatrzymać, ale ich wysiłki poszły na marne. Rustem siał spustoszenie, a bitwa szybko zamieniła się w ucieczkę — przetrwał tylko ten, kto zdołał uciec z pola walki.

Gdy wojsko zostało rozbite, Rustem ruszył do jaskini, gdzie spał sam Biały Demon, nieświadomy losu swoich poddanych. Wejście do groty było ciemne i złowrogie, przez chwilę bohater zawahał się, czy kroczyć dalej. Ale hałas jego kroków obudził potwora, który wyszedł w pełnym rynsztunku. Jego widok budził grozę, lecz Rustem oddał swą duszę pod opiekę Boga i zaatakował. Potężnym ciosem odciął mu nogę. Zwykle byłoby to końcem walki, ale tym razem rozwścieczony demon rzucił się na bohatera, próbując go obalić. Starcie było zacięte, przez chwilę wydawało się, że walka nie ma rozstrzygnięcia. W końcu Rustem zebrał wszystkie siły, powalił przeciwnika na ziemię, chwycił go za róg i przebił serce sztyłem.

Gdy Biały Demon wydał ostatnie tchnienie, Rustem spojrział ku wejściu jaskini — jeszcze przed chwilą wychodziły z niej setki demonów. Teraz wszystkie leżały martwe. Oulâd, który zachował bezpieczny dystans, podszedł i wyjaśnił, że życie całej armii demonów było związane z ich przywódcą. Gdy zginął, czar, który ich powołał i utrzymywał przy życiu, prysł. I tak, dzięki odwadze, sile i wierze w Boga, Rustem zwyciężył to, co wydawało się niemożliwe do pokonania.

Po siedmiu dniach pełnych trudów, niebezpieczeństw i chwały, Rustem bez większego wysiłku doprowadził do poddania się Mazenderanu Persji. Król tej krainy zginął, a Oulâd — w dowód lojalności i oddania — został mianowany jej zarządcą.

Triumfy Rustema przyniosły królowi Ky—Kaosowi władzę tak ogromną, że nie tylko ludzie, ale i demony były mu posłuszne. Władca wykorzystał tę władzę do budowy wspaniałych pałaców z kryształu, szmaragdów i rubinów. Z czasem jednak Dewy zaczęły mieć dość swojej niewolniczej egzystencji i ciężkiej pracy. Postanowiły się zbuntować i zgładzić króla, zasięgając rady samego diabła.

Diabeł podsunął im plan — polecił jednemu z Dewów, imieniem Dizjkhem, udać się do Ky—Kaosa i wzbudzić w nim obsesję na punkcie astronomii. Miał go przekonać, że może osiągnąć coś, czego nie dokonał żaden śmiertelnik — ujrzeć z bliska ciała niebieskie. Dizjkhem zrealizował ten plan znakomicie. Król oszalał z zachwyty i zapragnął natychmiast rozpocząć swoją niebiańską podróż.

Z pomocą diabła Dew nauczył młode sępy, by uniosły tron władcy w powietrze. Wokół tronu ustawiono włócznie, na których szczytach przymocowano kawałki mięsa, a głodne ptaki przywiązano u jego podstawy. Próbuąc dosięgnąć przynęty, sępy wzniosły tron w niebo.

Początkowo lot był gwałtowny i szybki, ale ptaki szybko osłabły, a gdy zrozumiały, że nie zdołają dostać się do mięsa, porzuciły wysiłki. Tron zaczął się chwiać i wirować w powietrzu, a Ky—Kaos omal nie spadł z wysokości i nie zginął — uratowało go tylko to, że kurczowo trzymał się konstrukcji. Sępy nie mogły się uwolnić, więc leciały dalej, aż w końcu opadły zmęczone w jednym z chińskich lasów, gdzie przerażone pozostawiły władcę.

Zaniepokojona dworska straż i poddani sądzili, że król znów dostał się w ręce demonów. Wojska wyruszyły we wszystkich kierunkach, by go odnaleźć. Po długich poszukiwaniach udało się go wreszcie odnaleźć i bezpiecznie sprowadzić do stolicy. Rustem, dowiedziawszy się o wszystkim, nie mógł powstrzymać gniewu i wprost wytknął królowi jego lekkomyślność, pytając z ironią:

— Czy tak dobrze radzisz sobie z ziemskimi sprawami, że musiałeś koniecznie spróbować rządzić niebem?

Opowieść o Ky—Kaosie i jego ambicjach pokazuje, że nawet największa potęga może ulec iluzjom pychy, a marzenie o sięgnięciu gwiazd bez rozwagi i pokory może skończyć się upadkiem — dosłownie i w przenośni. Szczęściem dla Persji był Rustem — nie tylko wojownik, ale i głos rozsądku, który z uporem ratował króla z kolejnych szaleństw.

CZŁOWIEK, KTÓRY NIGDY SIĘ NIE ŚMIAŁ

legenda arabska

Był sobie pewien człowiek — bogacz, właściciel domów, sług i wielkiego majątku. Wiódł życie w dostatku, otoczony luksusem i wygodami. Kiedy jednak zmarł, pozostawił po sobie tylko jednego syna, młodego chłopaka, który szybko przejął cały spadek. Zamiast jednak rozsądnie nim zarządzać, oddał się uciechom — jadł, pił, słuchał muzyki, świętował i hojnie rozdawał pieniądze. W krótkim czasie roztrwonił wszystko, co odziedziczył po ojcu.

Kiedy zabrakło mu złota, zaczął sprzedawać niewolników — zarówno mężczyzn, jak i kobiety — oraz wszystkie inne posiadłości, aż został z niczym. Z czasem jego sytuacja pogorszyła się na tyle, że sam musiał pracować fizycznie, jak zwykły robotnik. Przez wiele lat ledwie wiązał koniec z końcem.

Pewnego dnia siedział pod murem, czekając, aż ktoś go wynajmie do pracy, gdy nagle podszedł do niego elegancko ubrany mężczyzna o łagodnym spojrzeniu. Pozdrowił młodzieńca, a ten, zaskoczony, zapytał:

— Panie, czy my się wcześniej znaliśmy?

— Nie, synu — odpowiedział nieznajomy. — Ale choć teraz wyglądasz jak biedak, widać po tobie ślady dawnego bogactwa.

Młodzieniec westchnął:

— Tak właśnie chciał los. Może masz dla mnie jakieś zajęcie? — zapytał.

— Mam, i to bardzo łatwe — odpowiedział mężczyzna. — Mieszkam z dziesięcioma szejkami. Potrzebujemy kogoś, kto by nas obsługiwał. W zamian dostaniesz jedzenie, ubrania, wynagrodzenie i, być może, Bóg sprawi, że znów staniesz się bogaty. Ale mam jeden warunek: nigdy nie pytaj, dlaczego płaczemy.

Młodzieniec przystał na warunki, a szejka zabrał go do łaźni, dał mu nowe ubranie i zaprowadził do rezydencji. Był to przepiękny dom — przestronny, pełen ogrodów, fontann, śpiewających ptaków i zdobionych marmurowych sal. W jednej z nich młodzieniec zobaczył dziesięciu sędziwych mężczyzn — szejków — ubranych na czarno, pograżonych w żałobie, płaczących bez słowa. Przypomniawszy sobie obietnicę i nie zapytał o nic.

Wkrótce powierzono mu skrzynię z trzydziestoma tysiącami złotych monet — miał z niej opłacać dom i utrzymanie wszystkich mieszkańców, nie zapominając o sobie. Przez długi czas wykonywał to zadanie sumiennie, aż z czasem jeden z szejków zmarł. Pozostali obmyli jego ciało, owinęli w całun i pochowali w ogrodzie. I tak kolejni odchodzili jeden po drugim, aż pozostał tylko ten, który zatrudnił młodzieńca.

Przez wiele lat żyli we dwójkę, aż pewnego dnia i ostatni szejka ciężko zachorował. Młodzieniec opiekował się nim z oddaniem i smutkiem powiedział:

— Panie, przez dwanaście lat was służyłem bez wytchnienia. Czy nie powiesz mi, co było powodem waszej żałoby?

Szejk westchnął:

— Synu, nie pytaj mnie o to, czego nie jestem w stanie wyjaśnić. Prosiłem Boga, by nikt nie musiał cierpieć tak jak my. Jeśli chcesz być bezpieczny, nie otwieraj tamtych drzwi. Ale jeśli mimo to zdecydujesz się je otworzyć — dowiesz się prawdy, choć gorzko tego pożałujesz.

Po tych słowach zmarł, a młodzieniec sam go umył, owi-
nął w całun i pochował przy pozostałych.

Pozostał w rezydencji sam, wraz z bogactwem i wspomnieniami. Mimo dostatku nie zaznał spokoju — jego myśli wciąż krążyły wokół drzwi, o których mówił szejk. Przez siedem dni powstrzymywał się przed ich otwarciem. Na ósmy dzień nie wytrzymał. Uznał, że skoro wszystko, co ma się wydarzyć, jest zapisane przez Boga, to i tak tego nie uniknie.

Złamał cztery stalowe zamki i otworzył drzwi. Za nimi znajdował się wąski korytarz. Szedł nim przez trzy godziny, aż dotarł na brzeg wielkiej rzeki. Stał oszołomiony, rozglądając się na prawo i lewo, gdy nagle z nieba zleciał olbrzymi orzeł. Chwycił młodzieńca szponami i wzleciał z nim między niebo a ziemię. Leciał długo, aż w końcu opuścił go na wyspie pośrodku morza... i zniknął.

Tak kończy się ta część opowieści — pełna tajemnic, pytań bez odpowiedzi i przestrogi, by nie igrać z tym, co zakazane. Czasem ciekawość może być bramą do przeznaczenia, które nie było nam pisane.

Młodzieniec nie wiedział, co ze sobą począć. Siedział oszołomiony na brzegu, nie mając pojęcia, dokąd się udać. Aż pewnego dnia, spoglądając w morze, dostrzegł na horyzoncie żagiel — jasny jak gwiazda na nocnym niebie. Serce

zabiło mu mocniej, poczuł nadzieję, że oto nadchodzi ratunek. Przyglądał się statkowi, który zbliżał się powoli, aż w końcu dotarł na brzeg. Była to niezwykła łódź — wykonana z kości słoniowej i hebanu, z wiosłami z drzewa sandałowego i aloesowego, a cała pokryta płytkami błyszczącego złota. Na pokładzie znajdowało się dziesięć dziewcząt, dziewięć pięknych jak księżyc w pełni.

Kiedy go ujrzały, natychmiast zeszły na ląd, uklękły przed nim, całując mu ręce i mówiąc:

— Jesteś królem, naszym wybranym małżonkiem.

Jedna z nich — dziewczyna piękna niczym poranne słońce — podeszła do niego z jedwabną chustą, w której spoczywały królewska szata i złota korona wysadzana szlachetnymi kamieniami. Ubrała go i ukoronowała, po czym damy z miłością przeniosły go do łodzi, gdzie czekały jedwabne dywany w niezliczonych kolorach. Rozwinęły żagle i popłynęły przez głębiny morza.

— Wydawało mi się, że śnię — mówił później młodzieniec — i nie wiedziałem, dokąd mnie wiozą.

W końcu dopłynęli do brzegu, a jego oczom ukazały się niezliczone wojska — tłumy tak wielkie, że tylko Bóg mógł znać ich liczbę. Wszyscy odziani byli w zbroje, a do młodzieńca doprowadzono pięć rumaków z siodłami ze złota, wysadzanych perłami i innymi klejnotami. Wsiadł na jednego z nich, a cztery inne podążały za nim. Gdy tylko dosiadł konia, nad jego głową wzniosły się sztandary i chorągwie, zabrzmiały bębny i talerze, a żołnierze rozstąpili się na boki, tworząc orszak po jego obu stronach.

Czuł się, jakby śnił, nie wierząc, że to wszystko dzieje się naprawdę. Pochód prowadził przez zieloną dolinę, pełną pałaców, ogrodów, drzew, rzek, kwiatów i ptaków wychwalających imię Boga. Wtem z ogrodów wyłoniło się wojsko ni-

czym rwący potok, wypełniając łękę. Na jego czele jechał sam król — samotnie, w otoczeniu pieszych dostojników. Gdy się zbliżył, zsiadł z konia. Młodzieniec uczynił to samo. Przywitali się serdecznie, po czym znów dosiedli koni i ruszyli dalej. Król powiedział:

— Chodź z nami, jesteś naszym gościem.

Dotarli wspólnie do pałacu, otoczeni dostojnym orszakiem. W środku król wziął młodzieńca za rękę, posadził go na złotym tronie i usiadł obok. Gdy zdjął zasłonę z twarzy, oczom młodzieńca ukazała się piękna kobieta — nie żaden król, lecz królowa. Była olśniewająco piękna, pełna wdzięku, pewności siebie i powabu. Młodzieniec nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

Królowa powiedziała:

— Wiedz, o królu, że jestem władczynią tej ziemi, a wszystkie te wojska, zarówno konne, jak i piesze, to kobiety. Mężczyźni u nas uprawiają ziemię, budują, handlują, troszczą się o lud — ale to kobiety sprawują władzę, są sędziami, urzędniczkami i wojownikami.

Młodzieniec był tym niezmiernie zdumiony.

Wtedy weszła wezyr — siwa staruszka o dostojnym wyglądzie, otoczona orszakiem. Królowa rzekła:

— Sprowadź sędziego i świadków.

Staruszka odeszła, a władczyni zwróciła się do młodzieńca:

— Czy zechcesz, abym została twoją żoną?

Zaskoczony, upadł na kolana i chciał ucałować ziemię przed nią, lecz ona go powstrzymała. Odrzekł więc:

— Pani, nie jestem godzien być nawet sługą twoich sług.

Odpowiedziała:

— Czy widzisz to wszystko — służbę, żołnierzy, skarby, bogactwa?

Potwierdził.

— Wszystko to będzie twoje — możesz rozdawać i zarządzać wedle własnego uznania. Ale jedno ci zakazuję — nie otwieraj tych drzwi.

Wskazała na zamknięte drzwi i ostrzegła:

— Jeśli je otworzysz, pożałujesz — a żal już niczego nie odmieni.

Gdy przyszła wezyr ze staruszkami—sędziami i świadkami, królowa poleciła przeprowadzić ceremonię zaślubin. Zorganizowano ucztę, zabawy, a młodzieniec poślubił królową i przez siedem lat żył u jej boku w nieopisanym szczęściu i dostatku.

Aż pewnego dnia zaczął myśleć o tych drzwiach. „Gdyby nie skrywały czegoś cenniejszego niż to wszystko, co już widziałem, nie zabraniałyby mi ich otwierać.” Uległ pokusie. Otworzył je — i zobaczył ptaka, który kiedyś porwał go z brzegu rzeki i przeniósł na wyspę. Ptak spojrzał na niego i rzekł:

— Nie witaj twarzy, która nigdy już nie zazna szczęścia!

A ptak mówił o młodzieńcu jako o osobie, która przez swoje działania może stracić szczęście, które dotychczas miała

Młodzieniec próbował uciec, lecz ptak dogonił go, porwał i uniósł w powietrze. Lecieli między niebem a ziemią przez godzinę, aż znów wylądowali tam, skąd wszystko się zaczęło. Ptak odleciał.

Młodzieniec został sam na brzegu wielkiej rzeki, zdruzgotany. Wspominał chwile chwały, rozkazy, które wydawał, wspaniałość orszaku, królewskie przyjęcie — i płakał, i lamentował. Przez dwa miesiące siedział nad brzegiem, marząc o powrocie do żony. Pewnej nocy, kiedy rozmyślał w

samotności, usłyszał głos — nie widział nikogo, ale słowa były wyraźne:

— Jakże wielkie były twoje rozkosze! Daleko, daleko stąd jest powrót do tego, co minęło! Ileż westchnień cię jeszcze czeka!

Wtedy młodzieniec zrozumiał, że nigdy już nie zobaczy królowej, ani nie odzyska dawnego życia. Powrócił do pałacu, w którym mieszkał z dziesięcioma szejkami, i zrozumiał, że oni również przeszli przez to samo, co on — dlatego właśnie przez lata płakali i milczeli. Teraz ich rozumiał. Ogarnął go smutek i żal. Zamknął się w komnacie, przestał jeść, pić, cieszyć się zapachami czy śmiać się. Płakał dzień i noc, aż w końcu zmarł. Pochowano go obok szejków.

LIS I WILK

baśń arabska

Pewnego razu lis i wilk dzielili wspólną norę. Przez długi czas żyli razem, ale wilk był wobec lisa bezlitosny, ciągle go uciskał i źle traktował. Lis, zmęczony jego okrucieństwem, postanowił doradzić mu zmianę zachowania.

— Porzuć zło i naucz się łagodności — powiedział. — Jeśli dalej będziesz tak arogancki, może nadejść dzień, w którym Bóg ześle na ciebie człowieka — a syn Adama jest pełen podstępów i sprytu. Potrafi chwycić ptaki z nieba, ryby z morza, rozcinać góry i przenosić je — wszystko to dzięki swojemu rozumowi. Lepiej więc, abyś zrezygnował z ucisku, bo sprawiedliwość przynosi więcej przyjemności niż przemoc.

Ale wilk nie tylko nie posłuchał, lecz odrzucił te słowa z pogardą. Odparł ostro:

— Nie masz prawa mówić o sprawach które cie przerastają.

Po czym uderzył lisa tak mocno, że ten stracił przytomność. Gdy lis odzyskał świadomość, nie okazał złości. Przeciwnie — uśmiechnął się do wilka, przeprosił go pokornie i zacytował dwa wersy:

— Jeśli w moim sercu popełniłem wobec ciebie winę, żałuję jej teraz, a twoja łaskawość niech wybaczy grzesznikowi.

Wilk, choć przyjął przeprosiny i zaniechał przemocy, ostrzegł go:

— Nie wtrącaj się więcej w to, co cię nie dotyczy, jeśli nie chcesz usłyszeć czegoś, co cię zaboli.

Lis odparł:

— Zgoda, nie będę mówić niczego, co może cię urazić. Mądrzy powiadają: *Nie udzielaj informacji, o które nikt nie pyta, nie odpowiadaj, jeśli nie zostałeś zaproszony do rozmowy, zajmuj się tym, co dotyczy ciebie, i nie marnuj rad na złych ludzi, bo odplacą ci złem za dobro.*

Wilk uśmiechnął się do niego, ale w sercu zrodził podstępny plan. „Muszę zgładzić tego lisa” — pomyślał. Lis jednak, choć cierpliwie znosił zniewagi, był ostrożny i przemyślał sprawę. Wiedział, że pycha i oszczerstwo prowadzą do zguby. „Ten tyran kiedyś się potknie” — mówił sobie. Na głos zaś powiedział:

— Pan wybacza swojemu słudze, gdy ten się nawróci. Ja jestem tylko słabym stworzeniem i zbłądziłem, doradzając ci. Gdybym wiedział, jak boli twoja pięść, unikałbym jej jak ognia — nawet słoń by nie zdołał tego przetrwać. Ale nie narzekam, bo z bólu narodziło się dla mnie szczęście. Mędrzec powiedział: *Cios nauczyciela jest z początku gorzki, lecz w końcu słodszy niż czysty miód.*

Wilk wybaczył mu i odrzekł:

— Daruję ci twój błąd, ale pamiętaj o mojej sile. Uznałeś moją potęgę, więc teraz jesteś moim sługą.

Lis pochylił się przed nim z pokorą:

— Niech Bóg przedłuży twoje życie i niech twoi wrogowie nigdy ci nie zaszkodzą.

Od tej pory lis udawał uległość, ale w sercu planował zemstę.

Pewnego dnia wybrał się do winnicy i dostrzegł wyrwę w murze. Z początku był ostrożny, podejrzewając podstęp. „Ta dziura nie jest przypadkowa” – pomyślał. — „Ludzie stawiają w winnicach kukły lisów i kładą przed nimi winogrona, by zwabić prawdziwego lisa do pułapki. To wygląda podejrzanie. Roztropność to połowa sprytu — muszę to uważnie zbadać.” Zbliżył się do wyrwy i dokładnie ją obejrzał. Okazało się, że za nią była głęboka jama, przysypana cienką warstwą — pułapka na dzikie zwierzęta. Cofnął się i westchnął z ulgą: „Chwała Bogu, że byłem ostrożny. Może mój wróg, wilk, wpadnie w tę pułapkę, a ja odzyskam spokój w winnicy.” Pokiwał głową z uśmiechem i zaśpiewał:

— Obym ujrzał teraz w tej jamie wilka, który tak długo zatruwał mi życie goryczą. Obym przeżył, a on zginął — wtedy winnica należałaby tylko do mnie!

Pełen radości, pospieszył do wilka i rzekł:

— Los się do ciebie uśmiechnął! Droga do winnicy stoi otworem, bez najmniejszego trudu. To twoje szczęście, idź i korzystaj z obfitości, jaką dał ci Bóg — bez wysiłku i walki!

Wilk zapytał:

— Masz na to jakiś dowód?

Lis odpowiedział:

— Byłem tam — właściciel winnicy umarł, a owoce lśnią na drzewach. Raj czeka na ciebie.

Wilk, owładnięty chciwością, nie zastanawiał się długo. Natychmiast wyruszył do wskazanej wyrwy. Jego zachłanność przesłoniła mu rozsądek, a lis zatrzymał się za nim, udając martwego, i wyszeptał cytata: „Czy pragniesz spotkania z Lejlą? To właśnie żądza pozbawia ludzi głów”.

Gdy wilk dotarł do przerwy w murze winnicy, lis powiedział:

— Wejdz do środka — nie musisz już burzyć ogrodzenia, wystarczy, że Bóg dokończy dzieła.

Wilk, zachęcany tą myślą, ruszył naprzód z zamiarem wejścia do ogrodu. Gdy tylko znalazł się na środku przykrycia, które skrywało pułapkę, wpadł w nią z hukiem. Lis niemal eksplodował z radości, cała jego troski i zgryzoty uleciały w jednej chwili. Rozpromieniony, wyśpiewywał radośnie:

— Los zlitował się nade mną i zakończył moją udrękę. Dał mi to, czego pragnąłem, i oddalił to, czego się obawiałem. Przebaczę mu więc krzywdy dawnych lat, nawet tę niesprawiedliwość, która pokryła mi włosy siwizną. Wilk już nie ucieknie przed ostateczną zagładą, a winnica jest tylko moja — nie mam już u boku tępego towarzysza.

Zagładając do dołu, ujrzał wilka, który płakał z żalu i rozpacz. Sam lis zapłakał — lecz nie z litości. Gdy wilk uniósł głowę i zapytał:

— Czy to ze współczucia dla mnie płaczesz?

— Na tego, który cię tu wrzucił — nie — odpowiedział lis.

— Płacę nad długością twojego życia, nad tym, że nie wpadłeś tu wcześniej. Gdybyś tylko wcześniej tu utknął, zaznałbym spokoju i ulgi. Ale los pozwolił ci dotrzeć do końca twoich dni.

Wilk próbował jeszcze ratować sytuację:

— Idź do mojej matki i powiedz jej, co mnie spotkało — może znajdzie sposób, by mnie wydobyć.

Lis jednak odparł chłodno:

— To twoja chciwość i zachłanność wpędziły cię w zgubę. Nie wiesz, o głupi wilku, że kto nie przewiduje skutków, ten nie ustrzeże się niebezpieczeństw?

Wilk błagał dalej:

— Przecież darzyłeś mnie sympatią, chciałeś być moim przyjacielem, bałeś się mojej siły. Nie bądź pamiętliwy — kto wybacza, tego Bóg nagradza. Jak mówi poeta: „Siej dobro, nawet na nieurodzajnej glebie — zawsze przyniesie owoc. Dobro, choć długo zakopane, plon przynosi tylko temu, kto je zasiać zechciał.”

Lis, z pogardą w głosie, odpowiedział:

— O, najgłupszy z dzikich zwierząt! Zapomniałeś już o swojej pysze i wyniosłości, o tym, jak lekceważyłeś przyjaźń i odrzucałeś rady mędrców? Czyż nie słyszałeś, co powiedział poeta? „Nie bądź tyranem, choćbyś miał władzę — tyrani są blisko zemsty. Twoje oko śpi, gdy skrzywdzony czuwa i przeklina cię — a Boże oko nigdy nie śpi.”

Wilk próbował wzruszyć lisa kolejnymi słowami, cytując:

— Spiesz się z czynieniem dobra, póki możesz — nie zawsze będziesz mieć taką sposobność.

Upokarzał się, błagał, by lis pomógł mu się wydostać. Ale lis tylko zaśmiał się szyderczo i rzucił:

— Nie próbuj mnie oszukać — to niemożliwe. Zasiałeś zło, zbieraj cierpienie.

Wilk jeszcze raz przemówił łagodnie:

— W moich oczach jesteś wierny — nie zostawisz mnie tu przecież na pastwę losu.

I dodał błagalnie:

— Tyle razy mi pomagałeś, tyle mi dałeś — nigdy nie spotkało mnie nieszczęście, w którym by cię przy mnie nie było.

Lis patrzył na niego z pogardą:

— O, głupi przeciwniku! Jakże się upokorzyłeś po swojej pysze i okrucieństwie! Przebywałem z tobą jedynie ze strachu, schlebiałem ci bez nadziei na życzliwość. Teraz sam poczułeś smak strachu i dosięgła cię kara.

I dodał:

— Ty, co chciałeś podstępnie zniszczyć — sam wpadłeś w swą zasadzkę. Poczuj więc gorzki smak hańby i dołącz w zagładzie do innych wilków.

Wilk jednak nie przestawał błagać:

— O, łagodny pośród dzikich! Nie mów językiem nienawiści, nie patrz jej oczami. Wypełnij przysięgę naszej dawnej przyjaźni. Przynieś linę, przywiąż ją do drzewa i opuść mi jej koniec — może uda mi się wydostać. Oddam ci wszystkie moje skarby!

Lis westchnął:

— Niepotrzebnie marnujesz słowa. Nie licz na wybawienie — pomyśl raczej o swoich grzechach, podłości i knowaniach przeciwko mnie. Twoja dusza zaraz opuści ten świat. Przemyśl, dokąd się udajesz — to miejsce zła i zniszczenia.

— Abu al-Husajnie — szeptał wilk z trudem — niech wróci między nami przyjaźń. Kto ratuje życie, ten jakby ocalił całą ludzkość. Nie kieruj się złem — mędrcy je potępiają. Czyż nie widać, że nic nie jest gorszego od mojej obecnej sytuacji?

Lis jednak nie miał litości. Wybuchnął:

— O, ty okrutny, zatwardziały potworze! Twoje piękne słowa i podła intencja przypominają mi historię sokoła i kuropatwy.

Wilk zapytał:

— A jaka to historia?

Lis odpowiedział:

— Pewnego dnia wszedłem do winnicy na winogrona i zobaczyłem, jak sokół rzucił się na kuropatwę. Udało jej się jednak uciec i ukryć w swoim gnieździe. Sokół podążył za nią, wołając: „Głuptasie! Widziałem cię głodną na pustyni i litując się, przyniosłem ci ziarno. Chciałem ci pomóc, a ty uciekasz? Wyjdź, zjedz — niech ci służy!” Kuropatwa uwie-

rzyła i wyszła — wtedy sokół ją porwał. A kuropatwa rzekła: „To właśnie miało być to ziarno z pustyni? Niech to, co ze mnie zjadłeś, stanie się trucizną!” I rzeczywiście — pióra sokoła opadły, osłabł i umarł.

Lis spojrzął na wilka.

— Tak samo ty — chciałeś udawać troskę, by mnie pochwycić. Ale teraz sam znalazłeś się w pułapce. I niech ta sprawiedliwość będzie dla mnie przestrogą, a dla ciebie nauką — choć dla ciebie już za późno.

Lis kontynuował:

— Wiedz, wilku, że ten, kto kopie dół dla swego brata, sam szybko weń wpada. To ty pierwszy okazałeś mi zdradę.

Wilk odparł zmęczonym głosem:

— Przestań mówić do mnie takim tonem, daruj sobie przypowieści i przestań mi wypominać moje dawne grzechy. Wystarczy, że jestem w tej nędznej sytuacji — nawet wróg by mi współczuł, a co dopiero przyjaciel. Wymyśl coś, jakąś sztuczkę, cokolwiek, co mogłoby mnie uratować. Jeśli sprawi ci to trudność, pamiętaj, że prawdziwy przyjaciel gotów jest na największy wysiłek, by ratować drugiego, nawet gdyby miał sam zginąć. Powiadają: serdeczny przyjaciel jest lepszy niż brat. Jeśli mi pomożesz, zbiorę dla ciebie zapasy na czas biedy i nauczę cię sposobów, jak dostawać się do winnic i obdzierać drzewa z owoców. Zatem raduj się i bądź dobrej myśli.

Lis zaśmiał się głośno:

— Jakże trafne są słowa mędrców o kimś tak niezmiernie głupim jak ty!

Wilk zapytał:

— A co oni powiedzieli?

Lis odpowiedział:

— Powiedzieli, że kto jest nieokrzesany ciałem i duchem, ten daleki jest od rozumu, a bliski głupoty. Mówisz, że prawdziwy przyjaciel poświęca się dla drugiego — owszem. Ale powiedz mi, głupcze zdradliwy, jakim cudem miałbym być twoim prawdziwym przyjacielem, skoro jestem twoim wrogiem i cieszę się z twojego nieszczęścia? Twoje słowa są bardziej dotkliwe niż strzały, jeśli potrafisz to zrozumieć. Mówisz, że dasz mi zapasy i nauczysz, jak kraść owoce. Ale skoro jesteś tak sprytny, to czemu nie potrafisz wyciągnąć samego siebie z tej jamy? Jeśli sam sobie nie umiesz pomóc, to jak chcesz doradzać innym? Przypominasz chorego, którego chce leczyć innego chorego. Ten pierwszy pyta: „Dlaczego najpierw nie uleczysz siebie?” I odchodzi. Tak samo jest z tobą, wilku. Pozostań w swojej jamie i znoś to, co cię spotkało.

Słyszając te słowa, wilk zrozumiał, że lis nie żywi do niego współczucia. Rozpłakał się i rzekł:

— Byłem nieostrożny i zasłużyłem na to. Ale jeśli Bóg mnie stąd wybawi, odpokutuję za wszystko. Przywdzieję wełniane szaty, zamieszkam w górach, będę słaawił imię Boga i unikał pychy. Odsunę się od innych dzikich zwierząt i będę karmił ubogich oraz wojowników w służbie wiary.

I płakał żarliwie, aż lisowi zmiękło serce. Poruszony jego skruczą i obietnicami, podszedł do krawędzi jamy, usiadł i opuścił w dół swój ogon, by wilk mógł się go uchwycić.

Wilk podniósł łapę, chwycił za ogon i z całej siły pociągnął lisa w dół. Lis spadł do jamy i znalazł się razem z wilkiem w potrzasku. Wilk rzekł:

— O, lisie bez litości! Cieszyłeś się z mojego nieszczęścia, a teraz sam je dzielisz. Szybko cię dosięgła kara. Mędracy mówią: „Kto szydzi z czyjogoś biednego losu, sam w końcu go doświadczy.” Jak mówi poeta: „Gdy los spada ciężko na jed-

nych i rozbija obóz u drugich, Powiedz tym, którzy się cieszą naszym upadkiem: Obudźcie się — was spotka to samo.” Muszę cię teraz zabić, zanim sam zginę.

Lis pomyślał: „Wpadłem w pułapkę razem z tym tyranem. Teraz muszę użyć sprytu. Mówi się, że kobieta przygotowuje biżuterię na dzień święta, a łaza jest na czas największej potrzeby. Jeśli nie zastosuję podstępów wobec tej bestii, zginę. Dobry poeta powiedział: „Ratuj się sprytem, bo żyjesz w czasach, w których ludzie są jak lwy. Władaj włóczęgą podstępem, by młyn życia się obracał; Zbieraj owoce, a jeśli ich nie dosięgniesz, zadowol się trawą.”

Lis rzekł:

— Nie spiesz się z zabijaniem mnie, wilku dzielny i potężny. Daj mi chwilę, bym ci coś powiedział, a może obaj się uratujemy. Jeśli mnie zabijesz, nic na tym nie zyskasz, bo obaj tu zginiemy.

Wilk spytał podejrzliwie:

— Co zamierzasz? Jaki masz plan?

Lis odpowiedział:

— Kiedy usłyszałem twoje żale, obietnice poprawy, pokorę, wyrzeczenie się owoców i grzesznych nawyków, poruszyło mnie to. Chciałem cię ocalić i dlatego opuściłem ogon, byś mógł się wydostać. Ale ty, zamiast uciec z wdzięcznością, szarpnąłeś mnie tak, że omal nie straciłem przytomności, i wciągnąłeś mnie do piekła razem z sobą. Teraz jednak jest jeszcze jeden sposób, by się uratować. Jeśli się zgodzisz, obaj wyjdziemy na wolność, a ty będziesz musiał spełnić to, co ślubowałeś.

Wilk zapytał:

— Jaki to sposób?

Lis odrzekł:

— Podnieś się na łapach, a ja stanę na twojej głowie i wdrapię się na powierzchnię. Potem przyniosę ci coś, czego się uchwycisz, i wyciągnę cię.

Wilk jednak nieufnie pokręcił głową:

— Nie wierzę ci. Mędrcy mówią: „Ten, kto ufa, gdy powinien nienawidzić, błądzi”, a i „Kto wierzy zdrajcy, ten sam siebie zdradza”. Jakże trafne są słowa poetów: „Nie miej nigdy dobrego zdania — podejrzliwość to przejaw rozumu. Nic nie rzuca człowieka w nieszczęście szybciej niż dobroć i naiwność.” I inne: „Bądź nieufny, aby być bezpiecznym. Kto żyje czujnie, ten mało cierpi. Uśmiechaj się do wroga, ale w sercu szykuj na niego armię.” I jeszcze: „Najgorszy wróg to ten, któremu ufasz — strzeż się ludzi i bądź przebiegły. Ufność w los to słabość — lepiej się go bój i miej się na baczności!”

Tak oto lis i wilk wpadli w sidła własnych słabości — jeden przez zdradę, drugi przez litość. I chociaż obaj mieli swoje racje i słowa pełne mądrości, ostatecznie los zadrwił z nich obu.

Odpowiedział lis:

— Zaiste, zła opinia nie zawsze jest wskazana; natomiast dobra myśl i ufność to oznaki mądrości, których owocem jest ocalenie od lęków. Powinieneś, wilku, posłużyć się jakimś podstępem, aby wydostać się z tego nieszczęścia — lepiej, byśmy obaj się ocalili, niż mieli zginąć. Porzuć więc swą podejrzliwość i złośliwość, bo jeśli mi zaufasz, zrobię jedno z dwóch: albo przyniosę ci coś, czego się uchwycisz i wydostaniesz z tej jamy, albo postąpię zdradliwie, ratując siebie i zostawiając cię na pastwę losu — ale to ostatnie nie leży w mojej naturze. Kto bowiem zdradza, sam może zostać zdradzony i spotkać go może taka sama niedola. Mówi przecież przysłowie: „Wierność jest cnotą, zdrada hańbą.” Dlate-

go powinienes mi zaufać — wiem, czym jest cierpienie. Nie zwlekaj, lecz obmyślmy sposób ucieczki, bo nie czas na długie rozprawy.

Wilk odparł:

— Choć niewiele pokładam w tobie nadziei, wiedziałem, co masz w sercu. Pragnąłeś mnie wybawić, gdy usłyszałeś moją skrucę. Pomyślałem wtedy: „Jeśli mówi prawdę, za-
dośćuczynił swemu przewinieniu; jeśli kłamie, Bóg sam go za to ukarze.” Dlatego przyjmuję twoją propozycję. Ale jeśli mnie oszukasz, sam siebie skazujesz na zgubę.

Po tych słowach wilk podniósł się w jamie, a lis wspiał się na jego grzbiet, aż jego głowa dosięgnęła powierzchni. Lis wyskoczył na ziemię i padł na nią bez sił. Wilk zawołał:

— Przyjacielu! Nie zapomnij o mnie i nie odwracaj mojego wybawienia.

Ale lis tylko wybuchnął gromkim śmiechem.

— O, ty naiwny! To przez moją lekkomyślność i kpinę z ciebie wpadłem w twoje sidła. Gdy usłyszałem twoją rzekomą skrucę, ucieszyłem się i aż zatańczyłem z radości. Wtedy ogon mój zawisł nad jamą, a ty go chwyciłeś i wciągnąłeś mnie do siebie. Potem Bóg, chwala Jego imieniu, wyrwał mnie z twoich łap. Czemu miałbym cię teraz ratować, skoro należysz do grona szatańskich sług? Wczoraj śniło mi się, że tańczę na twoim weselu. Opowiedziałem ten sen tłumaczowi, a on rzekł: „Spotka cię straszne niebezpieczeństwo, lecz wyjdiesz z niego cało.” I rzeczywiście — wpadłem w twoje łapy, lecz zdołałem się wydostać. Ty zaś, głupi i podły, do-
brze wiesz, że jestem twoim wrogiem. Jak więc możesz sądzić, że ci pomogę? Czy nie słyszałeś, jak ostrzych słów użyłem względem ciebie? A czy nie wiesz, że śmierć grzesznika przynosi ulgę ludziom i oczyszcza ziemię? Gdybym się bał,

że moja wierność wobec ciebie ściągnie na mnie większe nieszczęście niż zdrada, może rozważyłbym, czy cię ratować.

Wilk, słysząc te słowa, ugryzł się w łapę ze złości i żalu. Zaczął przemawiać łagodnie, błagać lisa i pochlebiać mu:

— Wy, lisy, jesteście przecież najśłodszy w słowach i najzabawniejsi w żartach. To musi być żart z twojej strony — ale przecież nie każda chwila nadaje się na śmiech i igraszki.

Lis odpowiedział:

— O głupcze! Żarty mają swoje granice, których się nie przekracza. Nie myśl, że Bóg odda mnie znów w twoje łapska po tym, jak mnie od ciebie wybawił.

Wilk próbował jeszcze go przekonać:

— Jesteś przecież tym, który powinien chcieć mnie ocalić, przez wzgląd na dawną przyjaźń i braterstwo. Jeśli mnie uratujesz, hojnie ci to wynagrodzę.

Lecz lis rzekł:

— Mędrcy mówią: „Nie bierz sobie za brata głupca i złego, bo cię zawstydzi, nie uczci; nie bierz sobie za brata kłamcy — bo gdy czynisz dobro, on je przemilczy, a gdy czynisz zło, on je rozgłosi.” I jeszcze powiadają: „Na wszystko znajdzie się sposób, oprócz śmierci; wszystko da się naprawić, z wyjątkiem zepsutej natury; wszystko można odeprzeć, oprócz przeznaczenia.” Co do twojej obietnicy nagrody — przypominasz mi wężową opowieść.

I tu lis opowiedział:

— Pewnego razu wąż uciekał przed ptakiem Hąwee. Spotkał człowieka i rzekł do niego: „Uchroń mnie przed tym drapieżnikiem, a hojnie cię wynagrodzę.” Człowiek, łakomy na obietnicę, ukrył go w kieszeni. Gdy ptak odleciał, człowiek zapytał: „Gdzie moja nagroda?” A wąż odparł: „Powiedz tylko, w którą część ciała mam cię ukąsić.” I ukąsił go śmiertelnie. Ty, głupcze, jesteś jak ten wąż. Nie słyszałeś

może słów poety? „Nie ufaj temu, kogo wcześniej rozgniewałeś — bo gniew nie znika z serca. Żmija jest miękka w dotyku, ale kryje w sobie zabójczą truciznę.”

Tak oto lis zostawił wilka samego w jamie, obnażając jego podłość, zdradę i głupotę. Swoją opowieścią przypominał, że nie każdy, kto mówi słodko, zasługuje na zaufanie, i że szczerłość to coś więcej niż słowa — to czyny, które rodzą się z pokory, skruchy i prawdziwej przemiany serca.

— O, ty wymowny i urodziwy stworze! — zawołał wilk. — Nie bądź obojętny na moją sytuację ani na to, jak bardzo ludzie się mnie boją. Wiesz przecież, że atakuję ich warownie i pustoszę winnice. Zrób więc to, co ci rozkazałem, i służ mi jak niewolnik swojemu panu.

— O, ty tępy głupcze, szukający próżnych rzeczy! — odparł lis z pogardą. — Dziwię się twojej beczelności i grubiaństwu. Rozkazujesz mi, jakbym był twoim sługą, każesz stać przed sobą jak niewolnik przed panem? Zaraz sam się przekonasz, co ci spotka — kamienie rozłupią ci czaszkę, a twoje zdradzieckie psie zęby zostaną połamane!

Po tych słowach lis wspiał się na pagórek nieopodal winnicy i zaczął głośno wzywać właścicieli. Wołał tak długo, aż go usłyszeli i zaczęli zmierzać w jego stronę. Lis czekał spokojnie, aż podeszli blisko niego i jeszcze bliżej jamy, w której ukrywał się wilk, a wtedy szybko uciekł. Ludzie zajrzeli do dołu i zobaczyli wilka. Nie namyślając się długo, zaczęli ciśkać w niego kamieniami, gałęziami i wszystkim, co mieli pod ręką. Rzucali, póki nie padł martwy, przeszyty włóczniami, zmiażdżony i zakrwawiony. Gdy uznali, że nie żyje, odeszli spokojnie.

Lis wrócił do jamy i spojrzał na martwe ciało wilka. Stał nad jego zwłokami, potrząsając głową z radości i triumfu. A potem, nie kryjąc satysfakcji, wypowiedział wiersz:

— Los zabrał duszę wilka, śmierć go pochłonęła, niechaj daleka od szczęścia będzie jego zgubiona dusza. Jak długo, Abos Tirhanie, starałeś się mnie zgubić, a oto nadszedł na ciebie ogień nieszczęścia. Wpadłeś do jamy, z której nie ma powrotu — kto tam wejdzie, ten odnajdzie jedynie powiew śmierci.

Po wszystkim lis został w winnicy sam, bezpieczny i spokojny, wolny od zagrożeń. Miejsce, które wcześniej napawało go lękiem, stało się jego schronieniem. Nie musiał już uciekać, bo to nie on był już ofiarą.

PASTERZ I JOGIN

legenda indyjska

Za panowania króla Lakeha w krainie Cutch żył pewien jogin – mędrzec słynący z niezwyklej wiedzy o ziołach i ich właściwościach. Przez lata poszukiwał on szczególnego rodzaju trawy, której korzenie, gdy się je spaliło, miały posiadać niesamowitą moc. Według jego wiedzy, jeśli wrzuciło się człowieka w ogień rozpalony tą trawą, jego ciało zamieniłoby się w złoto. Co więcej, nawet gdyby odciąć którąś z kończyn, ciało nie traciłoby na wartości, bo brakujący fragment odrastałby samoistnie.

Pewnego dnia, podczas wędrówki za stadem kóz, jogin zauważył, że jedna z nich skubie właśnie tę trawę, której tak długo szukał. Bez wahania wyrwał ją z ziemi i poprosił pasterza, który znajdował się w pobliżu, by pomógł mu zebrać drewno na ognisko. Gdy ogień już płonął, a korzenie trawy zostały wrzucone w płomień, jogin, chcąc wykorzystać pasterza jako ofiarę dla swojego eksperymentu i bogactwa, pod jakimś pretekstem kazał mu okrążyć ognisko.

Pasterz, przeczuwając jednak podstęp, nie dał się zaskoczyć. Uważnie obserwował ruchy jogina, a gdy nadarzyła się okazja, sam chwycił go i wrzucił w ogień. Następnie odszedł,

zostawiając mędrca na pastwę płomieni. Gdy następnego dnia powrócił na to miejsce, jego oczom ukazał się niezwykle widok — pośród popiołów leżała złota postać człowieka. Oszolomiony, odciął jedną z kończyn i ukrył ją. Dzień później wrócił po więcej i ze zdumieniem odkrył, że brakująca kończyna... odrosła. I tak za każdym razem.

Wkrótce pasterz stał się bardzo bogaty. W końcu wykrył tajemnicę swojego nagłego majątku królowi Lakehowi. Ten, skuszony wizją niewyczerpalnego źródła złota, postąpił podobnie i również zaczął gromadzić ogromne skarby. Bogactwo, jakie zgromadził dzięki cudownemu ciału jogina, było tak wielkie, że codziennie rozdawał fakirom w jałmużnie sumę stu dwudziestu pięciu tysięcy rupii.

ZDRADLIWY, PODSTĘPNY WEZYR

legenda arabska

Dawno temu pewien król miał jedynego syna, którego zaręczył z córką innego władcy. Dziewczyna była niezwykle piękna, a jej urodę wielbiło wielu. Wśród jej adoratorów był także kuzyn, który ubiegał się o jej rękę, lecz został odrzucony. Zżerany zazdrością, postanowił działać podstępem — obdarował sowsie wezyra ojca narzeczonej, prosząc go, by uknuł intrygę, która doprowadziłaby do śmierci syna króla albo przynajmniej zmusiła go do porzucenia dziewczyny. Wezyr zgodził się bez wahania.

Ojciec narzeczonej wysłał wiadomość do królewskiego syna, zapraszając go do swojej córki, by mogli się poznać i wziąć ślub. Młodzieniec wyruszył w drogę pod opieką właśnie tego zdradliwego wezyra, w otoczeniu tysiąca jeźdźców i z bogatymi дарami. Gdy karawana przemierzała pustynię, wezyr przypomniał sobie o pewnym źródle zwanym Ez—Zahra. Krążyła o nim mroczna legenda — każdy mężczyzna, który napije się wody z tego źródła, zamienia się w kobietę. Pod pozorem odpoczynku kazał rozbić obóz w jego pobliżu i zaprosił młodego księcia, by napił się wody. Gdy ten zanurzył dłonie i zaczerpnął wodę, natychmiast przemienił się w

kobietę. Przerażony, zapłakał tak żałośnie, że aż stracił przytomność.

Wezyr udawał współczucie, wysłuchał wyznania młodzieńca, a potem wrócił do króla z wiadomością o jego nieszczęściu. Sam książę pozostał przy źródle, nie jedząc ani nie pijąc przez trzy dni, zrozpaczony i bez nadziei. Czwartego wieczoru pojawił się jeździec z koroną na głowie, który wyglądał jak królewski syn. Zbliżył się i zapytał, jak trafił w to miejsce. Młodzieniec opowiedział swoją historię. Jeździec, poruszony jego losem, wyznał, że jest synem króla džinnów¹⁰, a źródło Ez–Zahra znane jest tylko jednemu człowiekowi – wezyrowi. To właśnie on był sprawcą nieszczęścia.

Syn króla džinnów zaprosił młodzieńca do swojej siedziby, obiecując pomoc. Ruszyli razem, porzucając resztę orszaku, i jechali aż do północy. Wtedy džinn zapytał:

– Czy wiesz, jaką drogę przebyliśmy?

Książę odpowiedział, że nie.

– Pokonaliśmy trasę równą rocznej podróży dla zwykłego człowieka – odparł džinn.

Kiedy młodzieniec zapytał, jak wróci do domu, tamten odpowiedział:

– To już moja sprawa – gdy nadejdzie czas, wrócisz szybciej niż trwa mrugnięcie okiem.

10 Dżinny są to duchowe istoty stworzone z „bezdymnego ognia” (według Koranu) i istnieją w świecie równoległym do świata ludzi. Są obdarzone wolną wolą, co oznacza, że mogą być dobre, złe lub neutralne. Geniusze bywają przedstawiani jako istoty mogące pomagać lub szkodzić ludziom. W literaturze i mitologii mogą symbolizować ukryte siły, wyzwania lub wsparcie, jakie człowiek może napotkać w swojej podróży duchowej lub życiowej. Mogą być strażnikami ukrytej wiedzy, skarbów lub mocy, a także symbolami wewnętrznych konfliktów bohatera.

Rankiem dotarli do pięknej, zielonej krainy pełnej drzew, śpiewu ptaków, ogrodów i pałaców. Tam przyjęto młodzieńca z wielkimi honorami. Spędził dzień w gościnie, a nocą wraz z synem króla džinnów ruszyli dalej, aż trafili do ponurej, czarnej krainy pełnej kamieni i ciemnych skał.

— To Ziemia Mroku — powiedział džinn — należy do króla Zu—l—Dženáhejna. Bez jego zgody nikt tu nie wchodzi.

Poprosił księcia, by poczekał, a sam zniknął, by zdobyć pozwolenie. Gdy wrócił, razem dotarli do źródła bijącego ze skał. Džinn nakazał mu napić się wody. Gdy tylko książę to uczynił, natychmiast odzyskał swoją męską postać. Z radości padł na ziemię i dziękował Bogu.

— To źródło nosi nazwę Źródła Kobiet — każda kobieta, która z niego pije, staje się mężczyzną — wyjaśnił džinn.

Po czym razem wrócili do jego królestwa, gdzie książę spędził kolejną noc w dostatku i spokoju. Następnej nocy syn króla džinnów zapytał:

— Czy chcesz wrócić do swojej rodziny?

Gdy młodzieniec potwierdził, džinn wezwał jednego ze sług swojego ojca — istotę imieniem Rájiz. Nakazał mu zanieść księcia do pałacu jego teścia przed świtem.

Rájiz, który przybrał postać potężnego ifryta¹¹, zjawił się i książę aż zaniemówił z przerażenia. Ale džinn uspokoił go:

11 Ifrit to postać z mitologii arabskiej, pochodząca z tradycji islamu i folkloru Bliskiego Wschodu. Jest to rodzaj potężnego i groźnego džinna, często przedstawianego jako istota ognista. Ifryty są zwykle ukazywane jako istoty wyjątkowo silne, zdolne do czynienia zarówno dobra, jak i zła, choć najczęściej kojarzy się je z wrogimi siłami i zemstą. Ifryty często opisywane są jako ogromne, przerażające istoty o nadludzkiej sile, czasami posiadające skrzydła lub inne nadnaturalne cechy.

— Nie bój się, nic ci się nie stanie. Wsiądź mu na ramiona i zamknij oczy.

Księżę posłuchał, a ifryt uniósł go w przestworza. Lecieli przez noc, aż w ostatniej części nocy wylądowali na dachu pałacu jego przyszłego teścia.

— Otwórz oczy — powiedział Rájiz. — Jesteś u celu.

Po tych słowach zniknął.

Gdy nastał świt, księżę ochłonął z szoku i zszedł z dachu. Teść wybiegł mu naprzeciw, zdumiony:

— Ludzie zwykle wchodzi drzwiami, ty spadasz z nieba!

Młodzieniec odparł:

— Stało się to, czego Bóg zapragnął.

Uczczono ten powrót wielką ucztą, a wesele odbyło się zaraz po wschodzie słońca. Przez dwa miesiące młoda para mieszkała u jej ojca, po czym razem udali się do królestwa ojca księcia.

A co z zazdrosnym kuzynem? Ten nie wytrzymał zżerającej go zazdrości i gniewu — i umarł, ulegając własnej zgubnej namiętności.

SPIS TREŚCI

SZEW C ASTROLOG	3
LEGENDA O ZIEMSKIM RAJU SHEDDÁDA, SYNA 'A'D	18
GROBOWIEC ANUSZIRWANA	23
AMIN I GHUL	31
OPowieści SSIDI KURA	39
PRZYGODY BOGATEGO MŁODZIEŃCA	43
PRZYGODY SYNA ŻEBRAKA	46
PRZYGODY MASSANGA	51
CZARODZIEJ Z GŁOWĄ ŚWINI	56
HISTORIA NARRANI GARRAL I JEGO BRATA	61
WSPANIAŁY CZŁOWIEK, KTÓRY POKONAŁ CHANA	66
CZŁOWIEK—PTAK	69
MALARZ I RZEŹBIARZ	73
KRADZIEŻ SERCA	76
MĘŻCZYŻNA I JEGO ŻONA	80
DZIEWICA SSUWARANDARI	83
DWA KOTY	89
LEGENDA O DHURRUMNATHCIE	93
PRZYGODA PODRÓŻNIKA	96
SIEDEM ETAPÓW PODRÓŻY RUSTEMA	100
CZŁOWIEK, KTÓRY NIGDY SIĘ NIE ŚMIAŁ	108
LIS I WILK	115
PASTERZ I JOGIN	129
ZDRADLIWY, PODSTĘPNY WEZYR	131